

**Dziś w numerze: ● Czy można było uratować 7 mln. Żydów? ● Przyczółek  
● Perspektywę łódzkich teatrów ● Cztery wiosenne notatki prozą ● Między  
uczniem a studentem ● Wydarzenie na ulicy PSA  
● Wiersze ● Felietony ● Recenzje**

# odgłosy



16 (546)  
21. IV. 1968 r.  
18 stron  
Cena 1 zł

**TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XI**



WIESŁAW JAŹDŹYŃSKI

## Pisarze do pióra?

Podczas wydarzeń marcowych, które trudno będzie zapomnieć — pojawiło się hasło, bardzo, jak sądzę — dyskusyjne. Piszę — dyskusyjne, ale myślę po prostu — głęboko niesłuszne. Pisarze do pióra — trudno w tym wezwaniu popełnić błąd gramatyczny, czy też stylistyczny, przecież jednak błąd popełniany został i to błąd kalibru ciężkiego. Stawianie podczas trudnej lekcji historii pisarza do kata, odsyłanie go za drzwi, zdaje się w sposób drażniący oczywisty przeczyć polskiej tradycji literackiej. Jest to tradycja czynnego współuczestnictwa w dziejach narodu, wpływania na te dzieje. Z polską tradycją literacką związana jest idea służby społecznej. W hasło — pisarze do pióra, widzę zaprzeczenie nie tylko tradycji, na którą tak chętnie lubimy się powoływać, ale i oczywistej prawdy, że nie ma literatury poza życiem. Nie ma sztuki, nauki, szkoły, wychowania, ani żadnej innej rzeczy, która dla człowieka jest, nie ma w oderwaniu od dziejowego współczynnika, od świata, w którym żyjemy.

Problem nie może więc polegać na odświeżeniu pisarza od skomplikowanych problemów epoki, lecz na wyborze właściwego do niej stosunku. Ten właśnie wybór określa charakter każdej w gruncie rzeczy twórczości. I tych wielkich i tych mniejszych. Wyboru dokonywali także pisarze podczas pamiętnego zebrania oddziału warszawskiego Związku Literatów Polskich. Za Polską Ludową i socjalizmem, lub też przeciw niej. Stefan Kisielewski powiedział m. in. takie słowa:

„W tym roku minęło sto lat od urodzin Józefa Piłsudskiego. Cenzura dostała zarządzenie od jakiegoś ciemniaka, że ani jednej linii w prasie na temat tej rocznicy ukazać się nie może... Obchodzimy co roku Święto 22 Lipca bardzo uroczystie, defilady, obchody, salwy armatnie. Ale nikt nie pamięta, że manifest lipcowy jest drukiem nieczcynym. On się nigdzie nie pojawia. Cenzura by go nie puściła”.

Czy to nie jest bardzo wyraźny wybór? Oczywiście jest, wybór skierowany przeciw Polsce Ludowej, nonsensowny, donkiszoteryjny, zwracający drżącym Wisłą, niezwykle reakcyjny, ale jasny. Przypomnę szczerze, że wolę ludzi, którzy wybierają jednoznacznie, niewątpliwie, od tych, którzy twierdzą, że literatura prawom wyboru nie podlega, nie podlega prawom własnego stosunku do świata. To — oczywiście — nieprawda, choć światopogląd pisarski nie przychodzi na wezwanie, lecz rodzi się poprzez lata ciężkich prób i bolesnych niekiedy doświadczeń. Kisielewski, że będę się trzymał tego przykładu, jest więc określony i można by nawet z nim polemizować, gdyby mówić rzeczy poważniejsze, warte polemiki, gorzej jednak z ludźmi, którzy nieuchronnie ka-

ANDRZEJ MAKOWIECKI

## Czwarta twarz championa

Zbliża się Święto Włókniarzy. — Dzień na pewno ważny dla miasta. Najważniejszy. Chciałbym go uczcić piórem reportera. Ale jak?... Skoro tak szybko wycierają się słowa, skoro temat, atrakcyjny przecież i ważki, został ograny w stu różnych wariantach.

Opisałem kiedyś rodzinę włókniańską z Włoczek; czy mam prawo zrobić to raz jeszcze? Poklepywać tych ludzi po ramieniu ciepłymi frazesami — dzielni, uczciwi, pracowici, uparci? Falszować ich skomplikowany świat, nie wolny od trosk i konfliktów, ich psychikę, której na dobrą sprawę nie rozszyfrował dotąd żaden literat.

Kolega redaktor — widząc moją rozterkę — poradził, abym napisał coś oryginalnego, na przykład: o fabryce koszul „Włoczek”. „Ot, na rybkę biore — powiedział — opisz kobietę (a może to mężczyzna?), która bada zapotrzebowanie zagranicznego

ryнку na różne fasony, studiuje modę światową wybierając odpowiednie kroje kołnierzyków. To też jest, bracie, włókniańska. I to jaka!”

Jasne. To też włókniańska. Lecz pomysł nie przypadł mi do smaku. Ta kobieta (może i mężczyzna?) wykonuje bardzo ważną i odpowiedzialną pracę, jednak ja cierpię na chorobliwą wyobraźnię: widzę od razu dzentelmana z Zachodu, któremu znudziły się nylony, steelony i inne sztuczne pasakudztwa, pakuje więc na siebie popelinę made in Poland i męczy się w lustrze z zapieciem kołnierzyka.

Jakoś mi ten obraz nie przystaje do Święta Włókniarzy. Jakoś mnie drażni.

Toteż poszukałem innego bohatera.

Kiedy kolega redaktor usłyszał, że to sportowiec, nie krył rozczarowania.

A przecież mój bohater jest nie tylko sportowcem, bryła doskonale wytresowanych mięśni, którymi zarabia na życie. Przecież nie mieści się on w jednym tylko wymiarze: podczas treningów i zawodów na stadionie.

Ireneusz Jakś rozgrywa swój życiowy mecz na czterech frontach. Jako:

■ Srodkowy napastnik drużyny piłkarskiej — Włókniarz Łódź.

■ Majster rezerwowy w zakładach włókniańskich

■ Student Politechniki Łódzkiej (WSD) na Wydziale Technologii Włókna.

■ Ojciec rodziny.

1.

Trening na stadionie „Włókniarza” przy ulicy Kilińskiego. Jest piątek, wczesne popołudnie. Stoję na skraju boiska, w grupie kibiców — robotników z ŁZPB im. Obrońców Pokoju. Robotnicy są w roboczych kombinizonach; przed chwilą skończyli pracę, a teraz komentują na gorąco formę piłkarzy. Palą papierosy i martwią się, co to będzie w najbliższą niedzielę, bo tydzień temu Włókniarz, lider trzeciej ligi centralnej, stojący przed wielką szansą awansu,

przegrał nieoczekiwanie z „Warszawią”. Robotnicy wierzą po cichu, że ich drużyna przelamie tą passę. Jeśli mówię „ich drużyna”, to nie ma w tym przesady. Zawodnicy są na „ty” z parotysięczną rzeszą kibiców. We „Włókniarzu” brak niebieskich ptaków, obiboków, od których pęcznieją krajowe kluby. Każdy ma swoje miejsce, tu, w zespole, i w życiu. Czterech, tych najmłodszych, uczy się w Technikum Włókniańskim, trzech studiuje zaocznie na Wydziale Technologii Włókna PE, pracując jednocześnie w miejscowych zakładach włókniańskich, ramię w ramię ze swoimi kibicami; reszta też pracuje: w „Feniksie”, zakładach im. Duracza i Obrońców Pokoju. Nie, nie ma przesady, jeśli mówię „ich drużyna”. Piłkarze są wiernymi i najprawdziwymi włókniańszami, o głębokiej świadomości więzi ze środowiskiem. Może dlatego mają z Górnikiem Zabrze, choćby mecz Polska — Turcja, on przyjdzie dopingować swoich, którzy jak dotąd nie zrobili mi zawodu. Wierzę święcie w ich awans. Ja też.

Co będzie w drugiej lidze? Piłkarze zamienią się w profesjonalistów? Będą markować pracę na lipnych etatach? Wówczas więc ze środowiskiem trzaśnie jak bańka mydlana. Uczeń technikum, robotnik i student stanie przed dylematem: nauka i praca albo sport wyczynowy.

A gdyby tak zostawić wszystko po staremu? Wejść do drugiej ligi, ale nie zrywać z pracą, nauką i studiami? Trener „Włókniarza”, Józef Walczak, mówi, że to jest możliwe. Ba, ma zamiar upierać się przy tym. Rozumie, że piłkarz, który jest tylko piłkarzem, z chwilą zakończenia kariery, w wieku powiedzmy, lat trzydziestu, zostaje na lodzie, bez środków do życia. Jeśli jest silny i odporny psychicznie, może nauczyć się nowego zawodu. Jeśli nie —

Dalszy ciąg na str. 4

Dalszy ciąg na str. 2



Na zdziwienie się Czytelnicy, jeśli tym razem nasz cotygodniowy komentarz „Ze Świata”, poświęcony problematyce międzynarodowej, rozpocznemy od wydarzenia krajowego — wielkiej debaty politycznej na sejmowej sesji. Nie zdziwią się, ponieważ swoim zasięgiem przekroczyła ona granice kraju i była odpowiedzią na antypolską propagandę, uprawianą przez ośrodki zagraniczne, wspierane — bo taka jest przecież obiektywna wymowa interpelacji posłów z kół „Znak” — przez pewne urzędownictwa wewnętrzne. Dlatego przemówienie prezesa Rady Ministrów — Józefa Cyrankiewicza oraz dyskusja sejmowa w dniach 10—11 bm. nie mogą uść uwagi komentatora zagadnień międzynarodowych.

Odzijmy w nich raz jeszcze marcowe wydarzenia w Warszawie i innych ośrodkach akademickich, raz jeszcze ukazując, że mechanizm działania inicjatorów i organizatorów tych zajęć, które miały przecież par excellence polityczne cele i na tym le sens interpelacji kół „Znak”. Spełniła ona bowiem, kolportowana w kraju i poza jego granicami, pewną funkcję polityczną, stając się jej autorem po stronie sił syjonistycznych, reakcyjnych i rewizjonistycznych, które podjęły walkę, wymierzoną przeciwko krajowi.

Pisałiśmy już na tym miejscu, że wydarzenia w Polsce odbyły się szerokim echem za granicą. Wykorzystano je natychmiast do ataku przeciwko nam, czemu zresztą znając przeciwnika nie należy się dziwić. Tak, jak z góry można było przewidzieć, najbardziej uaktywniły się w nagonce antypolskiej: Izrael i inne ośrodki syjonistyczne oraz Niemiecka Republika Federalna i Stany Zjednoczone. Nie zawahano się przy tym sięgnąć po broń najbrudniejszą, organizując kampanię oszczerstwa, pomówień i obelg przeciwko narodowi polskiemu, który swoją postawą w okresie okupacji i pracowitym dniem dzisiejszym wydzwigniął wysoko prestiż kraju. W wydarzeniach marcowych dopatrzono się okazji do podważenia naszego dobrego imienia i odwrócenia uwagi od odzywiania się neohitlerowskich w Niemczech zachodnich, rasizmu w Stanach Zjednoczonych i poczynań izraelskich okupantów na zagarniętych terenach arabskich.

„Jakież to prawo — zapytywał z sejmowej tribuny premier Józef Cyrankiewicz — mają szowiniści z Tel Awiwu, aby nam właśnie wypominać rzekomą dyskryminację czy niewłaściwy stosunek do mniejszości? Byłoby o wiele korzystniej dla ich własnego kraju, gdyby zajęli się na przykład łosem Arabów, zamieszkałych terenach okupowanych obecnie przez Izrael”.

Przypomnijmy Czytelnikom, chociażby w największym skrócie, jaką to „tolerancją” legitymują się izraelscy okupanci?

„Ludność zamieszkałą na tych obszarach poddano różnego rodzaju ograniczeniom — zakazano swobodny poruszania się, raz po raz dokonuje się bezprawnych aresztowań, praktykuje się różnego rodzaju kary zbiorowe, łącznie z pobawianiem dachu nad głową i środków do życia, prowadzi przymusową deportację, pozbawia możliwości jakiegokolwiek awansu... Nawet żydźliwie nastawieni do Izraela dziennikarze zachodni w swoich reportażach z tych terenów nie mogą ukryć oburzenia z powodu praktyk izraelskich.

I właśnie te kółka, które odpowiedzialne są za los, jaki spotowano ludność arabską na podbiitych ziemiach, najgłośniej krzyczą przeciwko Polsce.

Jakie są tego powody — nie jest dla nikogo tajemnicą. Jest to niewątpliwie następstwo stanowiska, jakie zajęliśmy wobec ubiectoroznych wydarzeń bliskowschodnich. Jeśli natomiast kampania ta nasiliła się do niespotykanych rozmiarów właśnie teraz — to dlatego, że ośrodki syjonistyczne, imperialistyczne i inne głęboko przeżywają przegraną inicjatorów warszawskich prowokacji, która jest przeciw ich przegrana. Dlatego też w izraelskim parlamencie z bezczelnością, jakiej nie pamiętamy, przy osamotnionym głosie komunisty Wilnera, starającego się dać obraz prawdziwe, rozjuszeni nacjonalisci izraelscy brutalnie szkolowali Polskę, przeciwiąc się w obelgach.

Przystawiamy mówić: „asy szczekają, a karawana idzie dalej”. Antypolski chór, do którego przyłączyły się i głosy w kraju, nie jest w stanie podważyć naszego działania — ani porównać Polski z socjalistyczną wspólnotą, ani zwiekolować linii naszej polityki zagranicznej. czego tak bardzo pragnęłyby kółka Izraela, NRF i USA, ani rozbić jedności narodowej. Polacy wiele się nauczyli, także w marcowych dniach.

\* \* \*

Na przyjęcie, jakim nasz kraj ma na arenie międzynarodowej, wyskazywały ostatnio także doniesienie z Demokratycznej Republiki Wietnamu, gdzie zaproposowana Warszawa jako miejsce spotkania przedstawicieli DRW i USA. W związku z tą propozycją Hanoi, Polska Agencja Prasowa uświadczona została natychmiast do zakomunikowania, że rząd PRL „gotów jest stworzyć wszelkie konieczne i odpowiednie warunki dla umożliwienia i ułatwienia spotkania”.

Sprawa wyboru miejsca kontaktu w chwili, gdy przygotowuje komentarz do druku, nie jest jeszcze przesądzona. Rzecznik Białego Domu negatywnie ustosunkował się do sugestii, mimo iż Johnson osiwiadczył niejednokrotnie, że USA gotowe są spotkać się z przedstawicielami DRW w każdym miejscu i w każdym terminie.

Czym jednak kierował się rząd DRW? Niewątpliwie i rola, jaka Polska odgrywa w zawiązaniu światowego pokoju, i warunkami, jakie istnieją w Warszawie do tych rozmów (ambasada, środki łączności, sztab korespondentów), i faktem, że to właśnie w stolicy Polski od 10 lat trwa kontakt między USA i ChRL.

Odrzucając uprzednio Phnom Penh, a teraz negatywnie ustosunkowując się do Warszawy — USA opóźniają kontakt z drugą stroną. W połączeniu z wnioskiem w saigonskim parlamencie o powszechną mobilizację, dalsza wysyłka wojsk amerykańskich do Wietnamu oraz głośniejszymi reklamowaniami nowej ofensywy USA — może to rodzić przypuszczenia, że Waszyngton gra na zwłokę. Taka „negocjacyjna” taktyka administracji podważa szczerść intencji USA.

W. ŚEAWSKI

WACŁAW BILIŃSKI

## MOJA PRASÓWKA

Ostatnio czytuję gazety. Ciekawe, jak pozornie łatwo z makulatury papier zmienia się w źródło informacji. Proces ten wymaga tylko określonej temperatury, którą w roku 1968 nazywamy „szczególnym ożywieniem politycznym”. Myślę, że chodzi tu o zjawisko, które mogłoby stać się trwałym dorobkiem naszej prasy: trzeba po prostu rozszerzać obszar informacji, trzeba mówić więcej i uczelniej, nawet i o sprawach często bardzo bolesnych. A może — szczególnie o nich?

Tak czy owak — ostatnio czytuję prasę. I nie nudzę się. Jak każdy Polak mego pokolenia wypracowałem sobie niechęć do czytania wierszami; w rezultacie gazeta za jedyne 50 gr warta jest dziś dla mnie co najmniej 1 zł, czytam bowiem, raz to, co napisano *expressis verbis* — a drugi raz to, co wyczytać można między wierszami. Lektura między wierszami dostarcza mi dodatkowej porcji spraw i problemów godnych przemyslenia. A także dodatkowych znaków zapytania.

2.

Rocznik Statystyczny (rok XXVII — 1967) podaje, że Polska jest krajem młodzieży. Na bez mała 32 miliony nas braci — Polaków, ponad 17 milionów nie przekroczyło jeszcze tzw. „smugli cienia” tj. 30 roku życia. W tym kontekście z uwagą i sympatią odczytuję (coraz mniej ogólnikowo) życiorysy naszych nowych ministrów. Ekipa MON-u: roczniki 23, 16, 21. Przemysł lekki: rocznik 26. Uff! Czy to nie daje do myślenia? Czy to nie ofensywa młodości? A oto mój postulat w tej dziedzinie. Młodosć, fachowość — i na dodatek — raz jeszcze młodosć. Dlaczego dwa razy młodosć? Bo chodzi mi nie tylko o młodosć — tzw. — fizjologiczną, — również o młodosć intelektualną, o tę mieszaninę dynamizmu, poletu, szerokich horyzontów i antydogmatyzmu jakie cechują człowieka nowoczesnego. Są to zjawiska, które chadzą czasem w parze, ale czasem obce są sobie

jak woda i ogień. Chciałbym w wieku generała de Gaulle'a być taki młody jak on. Znam pewnego 25-letniego krytyka, który cierpi na ewidentną sklerozę starczą, mimo rumianego oblicza, świetnego apetytu, normalnego ciśnienia i niezłej wydolności seksualnej. Czymże więc jest młodosć? Ano, tą cechą szczególną, której — między innymi — życzymy sobie i tym, co o naszym losie decydują.

3.

Przeczytałem w gazecie, że załoga pewnych wielkich zakładów przemysłowych na zebraniu podjęła uchwałę wyrażającą votum nieufności w stosunku do dyrektora Centralnego Zarządu. Bardzo mnie ten fakt podekscytował: coż to za precedens? Bodaj nigdy jeszcze nie spotkałem się z tak energicznie zamianowanym poczem współodpowiedzialności za bieg spraw istotnie przeciw własnych. To prawdziwy gest współgospodarza: ba, ale jakie będzie on miał następstwa? I jak wygląda strona prawna takiego gestu? Wydaje mi się, że CRZZ ma teraz nad czym myśleć: powstał precedens, sprawa jest niełatwa — bo i o warcholstwo tu nietrudno, i formuła wydaje się improwizowana, może nawet niedorzeczna. Ale precedens jest, fakt stał się faktem, pisano o nim, gazetę za 50 groszy kupiło kilkadziesiąt tysięcy ludzi. Co dalej? A moje trzy grosze w tej dziedzinie? Ano, chciałoby się dożyć takich czasów, w których każdy robotnik — świadomy, nowoczesny, młody jak większość Polaków — będzie miał pełną świadomość i to na co dzień, na „roboczo”, iż jest w istocie współgospodarzem — a więc i współodpowiedzialny za wszystko co się w jego socjalistycznym zakładzie pracy dzieje. O precedensie przeczytałem z zainteresowaniem. Nadal będę wypatrywał jaskółek zwlastwiających wiosnę.

4.

I co dalej? Z wszystkich pytań, właśnie to wydaje mi się ogromnie pasjonujące.

Oto chociażby parę przykładów jego zastosowania:

W Prawie i Życiu przeczytaliśmy o działalności człowieka do niedawna zupełnie nietykalnego. I wiemy już co myśleć o panu Aleksandrze Fordzie. Wiedzieliśmy zresztą już wcześniej. Tym razem rzecz była jednak udokumentowana i choć na pewno nie wyczerpywała wszystkich zasług pana Forda dla Ludowej Ojczyzny — ukazała się drukiem, w poczytnym czasopiśmie.

No tak, jest takie przysłowie: chleb się je, a mowę się mówi — Prawo i Życie artykuł opublikowało. I co dalej?

Ignacy Krasicki w TV przedstawił nam przez wielu niezauważony antypolski paszkwił Grynberga pt. Wojna Żydowska. Grynberg „wybrał wolność” i ma Ludową Ojczyznę razem z nami wszystkim w nosie. Ale został ktoś, kto w Czytelniku tę książkę wydał — wbrew nakazom sumienia i zdrowego rozsądku, Krasicki postawił pytanie retoryczne: kto to? Kto jest odpowiedzialny za taką działalność edytorską?

Po czym zapadło milczenie.

Bo mowę się mówi, a chleb się je.

I co dalej?

Wreszcie sprawa Tykocińskiego, tak ważna, że kto wie, czy nie wężłowa dla zrozumienia wielu problemów naszego życia. Tykociński zrobił oszałamiającą karierę. Tykociński zdradził. Tykociński już nie żyje. Czy jednak sprawę Tykocińskiego można uznać za zamkniętą? Czy w tej sprawie nie będzie pytań, interpelacji, debatowania? Mnie — jeśli mam być szczery — nie daje ona spać po nocach. Słną mi się Tykocińscy. Czetam — ale właściwie na co? Mowę się powiedziało, chleb się je. I co dalej?

Tak czy owak: czytamy ostatnio gazety. Dają wiele do myślenia. Doradzam wszystkim wydawać na prasę co najmniej 50 gr dziennie: bo choć czasem bywa potem gorzej ze snem (— skutki ogólnego pobudzenia), ale nie ma już tej wielkiej nudy malej stabilizacji. A wszystko przez to, że ogólna temperatura życia politycznego w naszym kraju się podniosła. I co dalej?



Pisarze do pióra?

### Dalszy ciąg ze str. 1

nieczności wyboru zdają się nie dostrzegać. Artur Międzyrzeczki powiedział na zebraniu pisarzy warszawskich:

„Kultura jest niepodzielna. Nie ma w niej niepotrzebnych ludzi. Jest organiczną całością ze swoimi wszystkimi ogromnymi osiągnięciami, ze wszystkimi jej wielkimi przedstawicielami i pracownikami aż do najmniejszego pisarza. Jest całością, albo jej nie ma wcale. Nie można zrezygnować w literaturze z pana Y, X, czy Z-eta... Kultura nie może się obejść bez pana X, bez Y. Jeśli zostają oni pominięci w dziedzinie kultury, to doprowadza się do tego, iż „Dziady” Mickiewicza zdejmują się z afisza”.

Sęk w tym właśnie, że można, a nawet trzeba niekiedy zrezygnować z pana X-a, czy też Y-greka. Odrzućmy część demagogiczną wypowiedzi Międzyrzeczkiego. Ten sam jako tako rozgarnięty licealista wie, że „Dziadów” nie wystawia się tylko w jednym teatrze wskutek wyreżyszerowania nie tyle przedstawienia, ile demonstracji antyradzieckich, wie, że dzieło Mickiewicza obowiązuje w polskiej szkole i będzie jeszcze niejednym raz grane.

Międzyrzeczki jest przeciwnikiem wyboru w literaturze, sądzi, że wszystko jest jednako warte, godne, piękne i wychowawcze.

Nie sądzę. Literatura nie może być śmietnikiem, stosem przygodnie zebranych i sprzecznych ze sobą wartości. Nigdy zresztą nie była. Już sam czas, bełzitosny niekiedy dla pisarzy czas, przesiewa przez swoje obojętne, zimne sito światłe illo tempore tomy, a coż dopiero ludzie, pojmowani, jako konkretne siły społeczne.

Być może nadejdzie kiedyś idealny czas,

kiedy wszystko, co spod ręki artysty wyjdzie — będzie powszechnie i pod każdym względem akceptowane. Być może, choć nie obiecuję sobie doczekać takich szczęśliwych dni. Na razie jest wprost przeciwnie, nie możemy mówić, że świat jest rajskim ogrodem i wszystkie w nim kwiaty jednokowo pachną i jednakowo zachwycają barwami. Tak przecież nie jest, kwitną bowiem na naszych oczach kwiaty grzechu, złe kwiaty, które trzeba przycinać, plewić, oddzielać od reszty. Czy można nie zrezygnować z X-a, który przed kilkudziesięciu laty usuwał z bibliotek Helnego, wyrzucił Manna z Niemiec i pisał powieści, sławiące Hitlera?

Przeżyliśmy dość gorzkich i upokarzających praktyk wydawniczych, aby nie zgadzać się z Międzyrzeczkiem. No, bo jeśli miałby on rację miałby rację i Grynberg w swojej „Wojnie żydowskiej”, miałby prawo do życia, obcowania z polskim czytelnikiem paszkwił na Polaków. Nie jedyny zresztą.

Wybór, choć nie jest ani łatwy, ani gładki, jest, musi być, postępowaniem związanym z każdym ambitnym pisarzem. Niektórzy nasi krytycy siali przez lata ciszę na temat roli pisarza i literatury, a dziś chcieliby zebrać owoce w postaci obojętności, oderwania pisarza i jego dzieła od kategorii ideowych, od realnego życia kraju budującego konkretny, wymierny, socjalistyczny ustrój. Tego nie da się zrobić, nie da się ominąć wyboru „za”, lub też „przeciw”. I nic tu nie pomoże tekturowe hasło — pisarze do pióra, ani kaszowiejskie słowa o tym, że ślina na języku tę samą posiada wartość, co głębokie zaangażowanie.

WIESŁAW JAŹDZYŃSKI



**Could  
6 million  
Jews  
have been  
saved?**

W tym tygodniu sensacyjna książka opublikowana w Anglii oskarżyła rząd Roosevelta o obojętność okazaną w stosunku do eksterminacyjnej działalności niemieckiej wymierzonej przeciw Żydom w czasie drugiej wojny światowej.

Przekonywające dowody na to, że Hitler zarządził masakrę i likwidację wszystkich Żydów w Europie zostały przedstawione rządowi USA jeszcze w jesieni 1942 roku. Mimo to, przez 17 miesięcy, jak dowodzi wspomniana wyżej książka — ignorując szczegółowe plany ratunku Żydów opracowane przez różnorakie żydowskie zrzeszenia i towarzystwa — administracja prezydenta Roosevelta nie uczyniła w tym kierunku niczego, a to z winy zarówno dwulicowości pewnych urzędników w Departamencie Stanu, jak i z winy obojętności kierownika tego urzędu — sekretarza stanu Cordel Hull'a. Książka wymienia nazwiska tych urzędników.

Dopiero w końcu stycznia 1944 roku na biurko Roosevelta trafiło tajne memorandum zatytułowane „Pogodzenie się z USA z eksterminacją Żydów”. I wtedy dopiero Roosevelt zaczął działać. Książka, o której piszemy, ujawnia jak wielu Żydów można było jeszcze uratować, jeśli tylko została podjęta odpowiednia akcja.

„Gdy Umierało Sześć Milionów — kronika amerykańskiej apatii” — taki tytuł nosi ta sensacyjna książka. Jej autorem jest Artur Morse, były kierownik produkcji CBS — olbrzymiego amerykańskiego koncernu telewizyjnego.

Oskarżenie Morse'a oparte na starannie zbadanym materiale dokumentacyjnym nie pozostanie bez wpływu na reputację prezydenta Roosevelta. Również i rząd brytyjski nie wyjdzie z tego obrachunku bez plamy, chociaż w ogólnym rozliczeniu zarzuty przeciw niemu wydają się mniej ciężkie niż skierowane przeciw Amerykanom.

Relacje Morse'a zaczynają się od następującego telegramu, który dotarł 8 sierpnia 1942 roku do biur Departamentu Stanu w Waszyngtonie.

„Otrzymałem alarmujące doniesienia, w sztabie Führera dyskutuje się plany by wszystkich Żydów z krajów okupowanych przez Niemcy to jest trzy i pół miliona ludzi po deportowaniu do obozów koncentracyjnych poddać eksterminacji po to, by w ten sposób raz na zawsze rozwiązać kwestię żydowską w Europie stop powyższa akcja zaplanowana na jesień metody rozpracowywane włącznie z zastosowaniem gazów trujących stop”.

Powyższa wiadomość pochodziła od Gernarta Riegnera, przedstawiciela Szwajcarii w Światowym Kongresie Żydów. Otrzymał ją w Waszyngtonie rabin Stephen S. Wise, przewodniczący Kongresu Żydów Amerykańskich i on przekazał ją do Departamentu Stanu. Była to pierwsza pewna wiadomość, jaka dotarła do rządu USA, że już podjęto w Niemczech decyzje, dotyczące eksterminacji Żydów. Reakcja Departamentu Stanu sprawowała się do ogólnego niedowierzania.

28 września Riegner był w stanie przekazać Amerykanom dwa komplety dokumentów. Pierwszy składał się z raportów przygotowanych przez antynazistowskiego oficera sprawującego funkcję przy sztabie generalnym. Dokument ten zdobył Riegner za pośrednictwem pewnego szwajcarskiego profesora uniwersytetu. Według tych informacji działały już co najmniej dwie fabryki produkujące ze zwłok Żydów mydło, klej i smary.

Drugi dokument składał się z wysyłanych do Szwajcarii listów pewnego Żyda z Warszawy. Posiłkując się specjalnym hebrajsko-zargonowym kodem autor listu donosił, że w warszawskim getcie, wszyscy Żydzi z wyjątkiem tych, którzy pracują dla niemieckiego przemysłu wojennego zostali deportowani do obozów śmierci. Drugi list datowany 12 września zapowiadał ostateczną eksterminację getta.

Dwa miesiące później Departament Stanu otrzymał ze źródeł watykańskich dokument, który mówił o masowej egzekucji Żydów, szczegółowo podając miejsca eksterminacji w Polsce. W każdym z tych miasteczek mordowano dziesiątki tysięcy Żydów. Zabijano ich bądź z karabinów maszynowych, bądź w specjalnych komorach gazowych. Zarówno martwi jak i ranni, jeszcze żyjący byli natychmiast grzebani we wspólnych mogiłach. Zdarzały się częste wypadki samobójstw całych żydowskich rodzin. Żydowskie matki rzucaly się z okien trzymając swe dzieci w ramionach. W Lublinie Niemcy wyrzucali przez okna na bruk żydowskie dzieci.

Takie dokumenty grozy składające się już na pełny obraz sytuacji upoważniły rabin'a Wise do przedstawienia prezydentowi Rooseveltovi 8 grudnia 1942 roku 20-stronicowego dokumentu zatytułowanego „Błękitna księga dotycząca eksterminacji”. Była to analiza tej potwornej niemieckiej zbrodni, obejmująca wszystkie kraje europejskie. Prezydent zapewnił Wise'a, że Stany Zjednoczone i ich alianci uczynią wszystko by „ocalić tych, których jeszcze można ocalić”.

Wszyscy zdawali sobie sprawę, że zwycięstwo aliantów zakończy terror nazistowski. Było natomiast problematyczne — jak stwierdził Wise — czy w Europie dożyje tego dnia choć jeden Żyd. 21 stycznia 1943 roku Riegner dostarczył konsulatowi USA w Bernie szczegółowy raport dotyczący losu Żydów polskich i rumuńskich. Była w nim mowa o tym, że w obozach zagłady ginie około 6 tysięcy Żydów dziennie. Konsul Harrison przesłał powyższe informacje jako kablogram nr 482 do Departamentu Stanu. W trzy tygodnie później otrzymał w odpowiedzi kablogram nr 354, który wprowadził go w stan osłupienia.

„Dotyczy waszego kablogramu 482 z 21 stycznia stop zwracamy uwagę, że w przyszłości raporty oparte na prywatnych informacjach nie będą przyjmowane do wiadomości z wyjątkiem sytuacji nadzwyczajnych stop upoważniających do podjęcia takich kroków stop”.

W ten sposób rząd Stanów Zjednoczonych poczuł swego przedstawiciela w Europie, by nie korzystał na przyszłość z dostępnych

### PETER WILBY

THE OBSERVER W NUMERZE Z 31 MARCA 1968 ROKU DRUKUJE OBSZERNY ARTYKUŁ WYJAŚNIAJĄCY PEWNE ASPEKTY BEZCZYNNOCI RZĄDÓW ALIANKICH W OBLICZU HITLEROWSKIEJ AKCJI EKSTERMINACJI ŻYDÓW. PRZEDRUKUJEMY GO W CAŁOŚCI.

## Czy można było uratować 6 milionów Żydów?

mu źródeł informacji o losie Żydów.

Ten tryb postępowania wynikał z przekonania, że ratunek Żydów był nie do pogodzenia z podstawowymi celami wojennymi aliantów. Nie publikowane dotąd dokumenty Departamentu Stanu świadczą obecnie o tym, że można było uratować wiele Żydów bez ryzyka materialnego i bez strat w ludziach. Co więcej podjęcie takich prób nie tylko nie zmniejszyłoby prawdopodobnie wysiłku wojennego aliantów, a przyczyniłoby się do jego wzmocnienia.

Jedną z najbardziej zasadniczych przeszkód, o którą rozbiły się próby ratunku były amerykańskie przepisy imigracyjne. Dopuszczalne ilości imigrantów, określone specjalnymi ustawami i bardzo niskie — jak okazuje się ze statystyk między rokiem 1933 a 1943 — i tak nie zostały wykorzystane w 400 000 wypadków dotyczących właśnie imigrantów z krajów objętych rządami nazistowskimi. Wynikało to z niewiarygodnej wprost ilości zarządzeń i z niechęcią do skomplikowanej procedury wymagającej na przykład, by Żyd, który uciekł z rąk gestapo przed imigracją do USA przedstawił odpowiednim amerykańskim władzom świadectwo moralności wystawione w swym rodzinnym mieście przez niemiecką policję.

Od 1940 roku czuwał nad wykonaniem tych zarządzeń Breckinridge Long, zastępca sekretarza Departamentu Stanu, odpowiedzialny za wydanie wiz. Uważał on siebie za swego rodzaju strażnika narodu, któremu powierzono obronę kraju przed inwazją radykałów i obcych agentów. A przecież tylko w jednym wypadku — jak wskazują dokumenty — znalazł się wśród uciekinierów z Europy agent obcego wywiadu.

Innym obszarem geograficznym, który mógł się stać schronieniem dla Żydów była Palestyna, do której Brytyjczycy w ro-

ku 1939 ograniczyli imigrację na okres pięcioletni — a więc do marca 1944 — do liczby 75 tysięcy ludzi.

Wreszcie istniały możliwości ucieczki z krajów okupowanych przez Hitlera do krajów neutralnych, a także ukrycia się na obszarach wprawdzie kontrolowanych, ale nie okupowanych przez Niemców, wreszcie wchodziła w rachubę i akcja pewnych sojuszników Hitlera, którzy już zaczęli bać się przyszłej kary za zbrodnie wojenne.

A przecież i te drogi ucieczki zawiódły. W kwietniu 1943 roku delegacje brytyjska i amerykańska dyskutowały zagadnienia związane z uciekinierami w czasie specjalnej konferencji na Bermudach. Delegaci amerykańscy otrzymali instrukcje z Departamentu Stanu, by nie dyskutować w tym kontekście problemu uciekinierów żydowskich. Chodziło o to, by wracając do Ameryki puste okręty transportowe nie zwlekały w związku z próbami ratowania żydowskich uciekinierów. Zostało sformułowane zastrzeżenie, że nawet wtedy, kiedy istnieją ku temu możliwości i jest miejsce nie należy transportować przez ocean takich uciekinierów. Odmówiono również dezygnowania funduszy na ten cel powołując się, iż jest to prerogatywa Kongresu i prezydenta. Stwierdzono, że nie należy oceniać zmian w ustawach imigracyjnych, i że nie zostaną powołane żadne nowe agencje zajmujące się pomocą dla tego rodzaju uciekinierów.

Brytyjczycy ze swej strony nie chcieli zwrócić się z bezpośrednim apelem do hitlerowskich Niemiec i uchylili się zarówno od wymiany uciekinierów na jeńców, jak i nie chcieli słyszeć o jakiegokolwiek przerwie w blokadzie Europy związanej z ewentualnym dostarczeniem pomocy żywnościowej i lekarstw dla Żydów.

Nie dziwnego, że konferencja okazała się zupełnie jałowa, a ćwierć wieku później przewodniczący brytyjskiej delegacji lord Coleraine nazwał ją „fasadą pokrywającą beczynność”. A przecież do wiadomości kon-

Światowy Kongres Żydowski przekazał mu 10.000 dolarów — jako pożyczkę — dla rozpoczęcia akcji ratunku. 15 lipca 1943 r. przedstawiciele Wydziału Kontroli Kapitałów Zagranicznych Ministerstwa Skarbu USA, spotkali się z przedstawicielami Departamentu Stanu, by propozycje powyższe przedyskutować. Zachowały się protokoły z tych narad. Wynika z nich, że Robert Borden Reams, urzędnik Ministerstwa Spraw Zagranicznych USA, działając jako rzeczoznawca do spraw uciekinierów odniósł się negatywnie do propozycji Riegnera, usadniając swoje stanowisko tym, że pertraktacje z władzami rumuńskimi z pominięciem Niemców z całą pewnością do niczego nie doprowadzą.

Mimo tych wątpliwości Reamsa, urzędnicy Ministerstwa Skarbu zatwierdzili wstępne propozycje Riegnera, co należy przypisać samemu Henry Morgenthauowi, ówczesnemu sekretarzowi Skarbu. Ale ta decyzja wymagała zatwierdzenia Departamentu, który znów potraktował ją negatywnie. Jednym z argumentów było, że akcja dotyczyłaby pomocy dla części narodu rumuńskiego, z którym USA są w stanie wojny.

Spory proceduralne trwały do listopada, nim wreszcie Ministerstwo Skarbu uzyskało zgodę na przekazanie żądanej przez Riegnera sumy. Ale wtedy brytyjskie Ministerstwo Wojny zażądało nowej zwłoki i 15 grudnia sam minister wystosował pismo do ambasadora USA w Londynie, którego tekst został natychmiast przekazywany do Waszyngtonu. Brytyjczycy powoływali się na trudności organizacyjne, między innymi uważali za niemożliwe ustalenie ilości uciekinierów, co więcej masowy zakres przewidywanej pomocy wydawał im się niemożliwy do zrealizowania. Morgenthau ostro replikował i 23 grudnia mimo zastrzeżeń brytyjskich Riegner otrzymał przekaz na żądaną sumę. Równoległe Morgenthau wraz ze swoim sztabem z Ministerstwa Skarbu zaatakował bezczynność rządu USA wobec eksterminacji Żydów i ten właśnie jego raport nigdy dotąd nie opublikowany, stanowi podstawową rewelację książki Morse'a. Morgenthau w swym raporcie, przedstawionym Rooseveltovi postawił za rzut, że Departament Stanu nie tylko nie uczynił niczego by ratować Żydów od hitlerowskiej zagłady lecz przeciwnie, uruchomił całą rządową maszynę by przeszkodzić akcjom ratunku. Komentując sławetny kabeł nr 354 Morgenthau stwierdza, że Departament Stanu ukrywał przed opinią publiczną dawno znane plany eksterminacji Żydów w Europie, a następnie usiłował pokryć swe winy przemilczeniami bądź fałszywymi interpretacjami, a składane przez urzędników Departamentu Stanu wyjaśnienia były z zasady wykrętne a nawet fałszywe.

Raport Morgenthaua wskazuje, że Departament Stanu potrzebował przeszło roku by sprawdzić wiarygodność doniesień o hitlerowskich akcjach eksterminacji Żydów, że potem tracił czas na drobiazgową badania jaka część europejskich Żydów narażona jest istotnie na śmierć. W tym czasie setki tysięcy Żydów ginęło w całej Europie.

Po rozmowach z Rooseveltem Morgenthau zgodził się na zmianę tytułu swego raportu na „Osobisty raport dla prezydenta”, usunął również najbardziej drastyczne sformułowania. 6 stycznia wraz z dwoma urzędnikami Ministerstwa Skarbu zjawił się w Białym Domu i wręczył nowo opracowany raport prezydentowi, który od razu na pierwszej stronie odczytał następujące zdanie:

„Coraz więcej ludzi i organizacji społecznych dopatruje się w niepowodzeniach akcji ratunku dla Żydów — nie tylko rezultatu niedołęstwa urzędników Departamentu Stanu, którzy zajmują się zespołem powyższych spraw. Amerykańska opinia publiczna w działaniu tych urzędników dopatruje się motywacji antysemickich”.

Roosevelt wysłuchał argumentacji Morgenthaua i jak się wydaje, sam poczuł się współodpowiedzialny. W sześć dni później korzystając ze swoich prerogatyw zmienił odnośne ustawy i powołał Urząd Pomocy dla Uciekinierów Wojennych (War Refugee Board). Ale było już za późno. Niemiecka machina masowego mordu działała na pełnych obrotach, ginęły co dzień dziesiątki tysięcy ludzi, a pułkownik Adolf Eichmann z właściwą Niemcom sprawnością do ostatniej chwili umiał sprzątnąć sprzed nosa generałom Wehrmachtu tak im potrzebne samochody ciężarowe, by wykorzystywać je do masowych transportów śmierci. Tej potwrnej maszynie przeciwstawić się miał powołany przez Roosevelta za późno urząd, do którego dyspozycji stały tylko skromne środki ludzkie i materialne; kontrolowany przez Departament Stanu, który po ataku Morgenthaua już do końca wojny nie ukrywał swej niechęci dla każdej akcji pomocy Żydom.

## Czwarta twarz championa

Dalszy ciąg ze str. 1

stacza się na marginesy społeczeństwa. Nie wolno do tego dopuścić. Poza tym — zdaniem trenera Walczaka — człowiek ograniczający się wyłącznie do sportu, i w tej dziedzinie nigdy nie będzie orłem. Potrzebne są szersze zainteresowania: praca, nauka, kultura. Żeby dobrze kopać piłkę, trzeba pracować nie tylko mięśniami...

A więc wszystko zostanie po staremu?

Stoją na skrajach boiska w grupie robotników — włóknarzy i patrzą na trening, jeszcze trzeciogodzinny trening piłkarzy. Wiem, że ci chłopcy przyszli tutaj prosto od fabrycznych warsztatów, niedawno z nich wróci jeszcze tego dnia do pracy. A to, co dzieje się na boisku, nie jest pracą? Mój bohater, Ireneusz Jakś, haruje ciężko w gronie kolegów. Czarno-białe piłki leżą bezczynnie na bieżni, a oni przerabiają pod okiem trenera serię nudnych i niezrozumiałych dla mnie ćwiczeń. Biegają na palcach, maszerują na piętach. Zrywają się niespodziewanie do gwałtownych sprintów. Kładą się pokotem na murawie; pompki, kozy, uporczywa gimnastyka nóg. Skrety tułowia, skłony i przysiady. Taneczny chód wokół stadionu. Szper, po którym twarze ociekają potem. Przerwa. Ale krótka. Tyle żeby trampki zamienić na korki. Rozpoczyna się ostre strzelanie z osiemnastu piłek, które trener pcha niezmiernie z namiętnością pola karnego. Bija jeden po drugim, w pełnym biegu i tylko z lewej nogi. Mija pół godziny. Teraz strzelają z prawej. Piłki furczą wściekle w powietrzu; jedne mijają cel, inne grzezną w siatce przy głośnym pomruku aprobaty. Bramkarz w bombardowanej twierdzy zwija się jak w ukropie. Traktuje zabawę całkiem serio. Ale oto kończy się zabawa. Znowu szereg nudnych dla mnie, dyletanta, ćwiczeń; biegi, przysiady, marsze. To jest trening piłkarzy-amatorów? Wierzyć się nie chce, że oni tyrają tak sześć dni w tygodniu, a siódmego dnia, w niedzielę, rozgrywają twarde mecze. Ależ to nie są przecież piłkarze-amatorzy. Uprawiają sport wycieczkowy. Futbol jest ich zawodem. Tyle, że nie jedynym. Wzięli na swoje barki ciężar dwu, czasem i trzech profesji. Może dlatego są tacy ambitni, nieustępliwi...

Kiedy po trzech bitych godzinach ćwiczeń spoceni i umorusani zawodnicy schodzili do szatni, pod natryski, które mieszczą się w tym skromnym, parterowym budynku z drewna — Ireneusz Jakś był już myślami na kolokwium, jego dzień, po pracy i treningu, wchodził w trzecią fazę.

2.

Zazwyczaj, jeśli przytacza się życiorys, to tylko gwiazdatorów piłkarstwa. Jakś nie jest gwiazdorem. Ale zrobił wyjątek. Ma dwadzieścia osiem lat. Urodził się w Zduńskiej Woli. Tu chodził do powszechniaka i kopał z chłopcami szmalcankę. Za namową starszych braci zaczął uprawiać lekkoatletykę. — Na jednej z trawiastych uliczek miasta urządzili sobie miniatu-

stadion; bieżnię, skocznię, pole do rzutów oszczepem. Techniki sportu uczyli się z groszowych broszurek. Były takie kiedyś, a jakże. Sprzęt produkowali sami.

W roku 1953 grał wraz z braćmi w drużynie trampkarzy miejscowego „Startu”, potem również w zespole seniorów C-klasy. W latach 1959—61 odbywał służbę wojskową w Koszalinie, broniąc barw wojskowych klubów sportowych. Do Łodzi trafił pod koniec 1961 roku i występował przez dwa lata we „Włókniarzu”, a w sezonie 1963 — w pierwszoligowym ŁKS-ie. W tym czasie ukończył Technikum Włókiennicze. Ożenił się — żonę poznał na stadionie „Włókniarza”, do którego w 1964 roku powrócił i któremu dotąd jest wierny. Był współautorem awansu „Włókniarza” do trzeciej ligi centralnej.

Pracuje w Zakładach im. T. Rychlińskiego, ma niespełna czteroletnią córkę; jego żona jest nauczycielką matematyki w szkole podstawowej.

Jeszcze dwa lata temu życie Ireneusza Jakśa układało się bezkonfliktowo. Była praca i twarde treningi, ale wieczory miał wolne.

Dziś to wygląda inaczej.

Odkąd zaczął studiować, rezerwy wolnego czasu wyczerpały się do cna. Osiemnaście godzin w tygodniu ćwiczeń, i wykładów, których stara się nie opuszczać. A nauka w domu? Jakś jest ambitny. Jeśli ma wolne od zajęć popołudnie, kuje w swoim niewielkim blokowym pokoju, od obiadu do godziny ósmej wieczorem: matematyka, fizyka, chemia ogólna, język rosyjski i rysunek techniczny. Nad ekonomia polityczną śleczy w bibliotekach, bo odpowiednich podręczników nie można dostać w księgarni. Jeśli po południu ma wykłady, to uczy się po nocach, nieraz do pierwszej, nawet drugiej nad ranem. Czy znajduje czas na kino i teatr, które tak lubi jego żona? Czy poświęca dość uwagi dziecku, które garnie się do niego przy każdej okazji? Jakś chce być dobrym mężem i ojcem. Pamięta o Dniu Kobiet, imieninach i urodzinach żony, wychodzi z dzieckiem na krótkie, parominutowe spacerki, nie czyta gazet przy posiłkach, gdyż jest to najczęstszą jedyną sposobność, aby porozmawiać z rodziną. Jeszcze nigdy nie spał w trakcie dnia. Czy to wystarczy? Człowiekiem szarpią sprzeczności. Robi się jedno, myśli się o drugim. Ta gonitwa myśli — wykańcza, zrywa nerwy. Jakś, obrany przez kolegów kapitanem drużyny, powinien uczestniczyć w zebraniach zarządu, niejako z urzędu powinien walczyć o prawa zespołu i opiekować się młodszymi piłkarzami. Ma świadomość, że obowiązki te zaniedbał. Doba ma tylko dwadzieścia cztery godziny. „Być może — mówi Jakś — zrzekną się funkcji kapitana”. Ktoś dowcibinny powie, że równie dobrze Jakś mógłby w ogóle zerwać z piłką, — więcej czasu, mniej wysiłku. Ale co zrobić, kiedy futbol jest powołaniem człowieka, największą jego pasją? Nie, nie wyobraża sobie życia bez piłki. Więcej może przerwać studia? Dwa, trzy razy w tygodniu Jakś przechodzi kryzys, chwile załamania. Czuje się wtedy zmęczony i ma ochotę cisnąć wszystko do diabła. Ale przychodzą refleksje — dziewięć miesięcy „chodził” na zetemesowski kurs przygotowawczy do egzaminów na wyższą uczelnię, z niemałym wysiłkiem złożył te egzaminy, zaliczył pierwszy semestr i jest u progu sesji wiosennej. Cisnąć to wszystko, znaczy: przekreślić cały dwuletni trud, wymazać bezsensownie i na zawsze z życia długie miesiące wyrzeczeń, zniszczyć piękne i ambitne plany przyszłości. Przychodzą refleksje a z nimi — opamiętanie. Zresztą Jakś przywiązał się do uczelni. Wśród studentów — też przecież włóknarzy — ma wielu przyjaciół: przechodzą na mecze i dopinają go słośnie, cieszą się kiedy wygrawa, martwią kiedy ponosi porażkę; nie jeden powie czasem gorzkie słowo: „Mogłeś się lepiej postarać, strzelić chociaż jedną bramkę”. Jakś bierze to do serca, tak jak bierze do serca uwagi swoich kolegów — robotników z Zakładów im. Duracza.

Wie, że ci ludzie są mu życzliwi. Przywiązał się do tych ludzi, i do pracy. Mówi o sobie: „Jestem potrójnym włókniarzem — z klubu, roboty i uczelni”. To prawda. Wierzę w szczerść tych słów; wierzę, że Jakś swoją grą i postawą integruje środowisko włóknarzy. Dlatego też — dopinając go gorąc w boju, który toczy na czterech frontach. Chciałbym, aby wytrwał w uporze; grał w piłkę nie zaniebując pracy, skończył studia nie zapominając o rodzinie, aby wykpił ostatecznie tak rozpowszechniony wśród młodych piłkarzy-wycieczkowców mit, że sport nie może iść w parze z nauką, a co dopiero pracą. — Na pewno nie jest to łatwe. Ale możliwe.

Nie chcę wysnuwać zbyt pochopnych wniosków, ale myślę, że historia Ireneusza Jakśa jest w poważnym stopniu historią całej drużyny. Jego ambicja znajduje w klubie wiele rezonatorów. Jego postawa na boisku i w życiu przystaje do postawy innych piłkarzy.

We „Włókniarzu” panuje koleżeńska atmosfera. Nie prowadzi się tych małych i perfidnych gier, jakie wiodą pomiędzy sobą zawodnicy wielu klubów („nie podawaj mu piłki”, „nie daj pograć temu nowemu”, itp.). Zwycięstwa odnosi się wspólnym i niemałym wysiłkiem, za porażką odpowiada cały kolektyw.

Zapytałem niedawno jednego z dziennikarzy sportowych, czy „Włóknarz” wejdzie do drugiej ligi.

— To dobra i ofiarna drużyna — powiedział. Ale chyba nie.

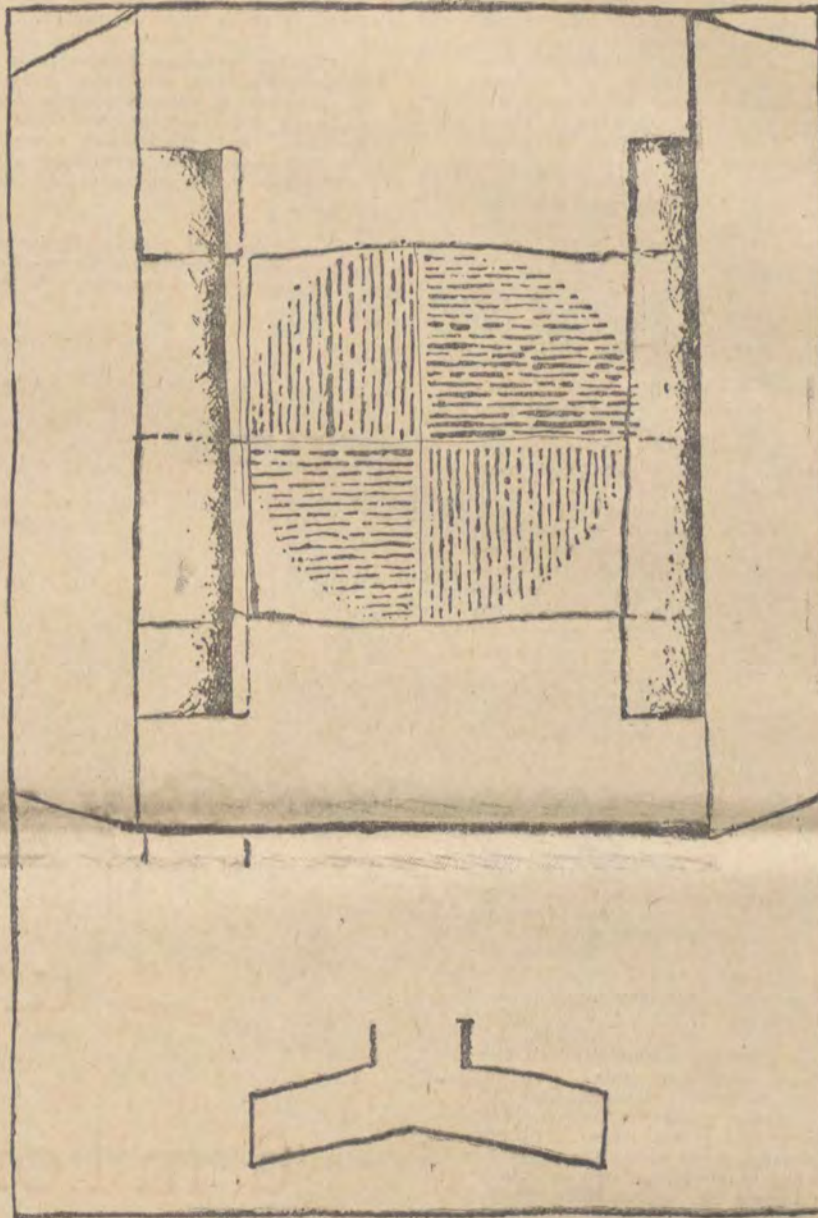
— Dlaczego?

— Bo „Włóknarz” jest za biedny. Tu potrzebne są pieniądze.

Skonfrontowałem tę opinię z trenerem Walczakiem. Uśmiechnął się.

— „Włóknarz” nie jest biednym klubem, wprost przeciwnie. Ale przestrzega regul uczciwości. Dostaniemy pieniądze na sprzęt, ale nie dostaniemy na przekupienie przeciwnika. Zresztą wcale takich pieniędzy nie chcemy. Zdaje sobie osobliście sprawę, że w bojach ligowych zdarzają się wypadki osiągania zwycięstw za pomocą tych niesportowych i jakże nieuczciwych czynników. Ale są to tylko pozorne zwycięstwa, opłakane w skutkach; wypaczają charakter młodych ludzi, stwarzają precedens dla lawinowania; najprzód w sporcie, potem w życiu. Jeśli już „Włóknarz” ma awansować do drugiej ligi, czego wszyscy tak bardzo chcemy, niechże to będzie jego wewnętrzny sukces, wynikiem twardej ale czystej walki.

ANDRZEJ MAKOWIECKI



Jerzy Treliński. Głębokość — litografia.

## Nożycami przez PRASĘ

### „TREND ANTYINTELIGENCKI”

K. T. Toepfitz w „Kulturze” krytycznie przygląda się niektórym reprezentantom inteligencji, którzy lojalnie i nawet gorliwie wykonywali wszelkie „zamówienia społeczne” w okresie stalinizmu, zaś po październiku, gdy zakres możliwości twórczych nieporównanie się poszerzył, gdy wartości narodowe kultury za cęły odzyskiwać należne sobie miejsce, przeszli na pozycje niezadowolonych.

Autor, biorąc pod uwagę nie tylko czy poczucie zagrożenia, jakie w ostatnich tygodniach mogło zbudzić się w niektórych środowiskach inteligentnych, zauważa:

Spory, które toczymy w środowisku literackim, noszą na sobie pewien odcień obraźliwego, odnoszą się do chwili dzisiejszej, ale zatracają — bo muszą zatrać — o przeszłość, którą przeszliśmy wspólnie,

spleceni w jakiejś tragikomicznej grupie Laokona. Sprawy zaś, dotyczące tej grupy inteligencji, która nosi jeszcze obecnie studenckie czapki, prawie w całości odnoszą się do przyszłości. Są dlatego, w jakimś sensie, mimo doniosłości tamtych — ważniejsze. Jest już oczywiste, że wyjdą one wkrótce ze stanu obecnego powikłań i będzie należało o nich mówić jako o sprawie statusu społecznego i moralnego nowej inteligencji w Polsce.

Jest to temat doniosły. W chwili obecnej gdy spotyka się głosy na temat perspektyw tej generacji, akcent pada na jej przygotowanie zawodowe, na jej niezbędność dla rozwijającej się gospodarki. Akcent pada więc przede wszystkim na inteligencję techniczną. Połże by gospodarki nowoczesnej dogadają się coraz doskonalszych fachowców — i z kolei wnoszą nowe idee do samej produkcji i jej organizacji.

Jest to niesłychanie ważne i ciekawe zagadnienie.

Uznając wymogi gospodarki, Toepfitz podkreśla jednak, że nie można poprzestać na samym racjonalizowaniu chowie fachowców. By wykształcenie było pełne, jednostronność profesjonalna musi być wzbogacona o przedmioty pokrewne, o wiedzę ogólną, humanistyczną i polityczną.

KTt przestrzega także przed dosłownym pojmowaniem hasła o składzie socjalnym studentów.

Wśród haseł załóg robotniczych czytaliśmy transparenty z napisami: „Więcej dzieł robotników na wyższe uczelnie”. Jest to hasło słuszne. Więcej dzieł robotników na wyższe uczelnie — to znaczy określenie ściśle priorytetu stosowany przy samych zapisach, równoważący brak środowiskowo odziedziczonej szansy. Ale to znaczy również więcej domów akademickich, więcej sal wykładowych, to znaczy taka rozbudowa szkolnictwa wyższego, aby w jego ramach znalazł się każdy, kto na to zasługuje. To znaczy również niekiedy — mniej protekcjonizm w dysponowaniu tak zwanymi „rezerwami rektorskimi”, mniej kumulstwa. Ale nie znaczy to: mniej wartościowych uzdolnionych studentów ze środowisk inteligentnych, mniej dowolności o ten ogólnonarodowy przecież kapitał wiedzy,

umiejętności, kultury, gromadzonego nieraz przez pokolenia światłej i uczelnej inteligencji naukowej, technicznej czy humanistycznej.

### KU EGALITARYZMOWI

Czy obecne nasze społeczeństwo jest bardziej zróżnicowane niż czy też mniej niż przed wojną? Wszystko wskazuje na to, że pod wieloma względami bez porównania — mniej.

Zagadnienie to rozpatruje w „Polityce” Irena Dryl na przykładzie stosunków w naszym mieście.

Łódzka dziennikarka przytacza wiele przykładów, porzeczamy na jednym: Tak np. pracownicy biurowi (2210 zł) zarabiają w Łodzi niewiele więcej od robotników wykwalifikowanych (1904 zł), a ci z kolei wyprzedzają pracowników fizycznych umysłowych (1825 zł). W tradycyjnym, przedwojennym układzie, było akurat odwrotnie — dochód urzędnika plasował go daleko przed robotnikiem, a np. kolejarz był w lepszej sytuacji materialnej niż tenże robotnik. Badania są potwierdzeniem znanej skądinąd zmiany w proporcjach płac. W latach trzydziestych stosunek przeciętnego zarobku robotnika do przeciętnego zarobku pracownika umysłowego wynosił — 1—2,2, w 60 natomiast 1:1,1.

### DZIWNE I NIEZROZUMIAŁE

A może właśnie zrozumiałe i nie dziwne. W naszym kraju zachodzą doniosłe przemiany, które mogą zadecydować o przyszłym rozwoju życia politycznego, społecznego, gospodarczego i kulturalnego. Zarówno dzienniki jak i czasopisma przeprowadzają szeroką dyskusję, włączając się w tok zainicjowanej, nie bójmy się tego określenia: wielkiej przemiany. Tymczasem dwa tygodniki: „Szpilki” i „Świat” zachowują się tak jakby się nie w Polsce nie stało. „Świat” wiele miejsca poświęcił ostatnio sprawom gastronomicznym, „Szpilki” wydały numer, którego treść wyabstrahowana została z wszelkiej konkretności. Wprawdzie potem naprawiły nieco swój błąd, ale stało się to pod presją oburzonej opinii. A przecież i jedno i drugie pismo mogłyby wiele zdziałać: „Szpilki” piórami satyryków, „Świat” piórami publicystów. Nadarzyła się sposobność, aby „Szpilki” wyszły poza satyrę kawiarniano-elitarną i spróbo-

waly poszerzyć swoją problematykę polityczno-społeczną i obyczajową. „Świat”, który rozchodzi się w dużym nakładzie i ma niemało czytelników zarówno w Polsce jak i za granicą, mógłby włączyć się w toczoną dyskusję, zwłaszcza w aspekcie, dotyczącym spraw polskich na arenie międzynarodowej. Czyżby redakcje obydwu pism uważały, że nie jest to potrzebne?

### COS Z ŻYCIA

Dawno nie zaglądaliśmy do tej miłej rubryczki „Polityki”, więc:

Na drzwiach kościoła w Łomży pleban wywiesił pytanie do wiernych: „Jak pijak może trafić do królestwa niebieskiego, kiedy nie może trafić nawet do własnego domu?” Przez Izbę Wyrzecznień — odpowiadamy.

Wydaje się, że napis ks. plebana nie zasługuje na drzwi. „Front jednoci” w walce z pijaństwem budzi akceptację. Pamiętajmy także o „pluralizmie”: do różnych ludzi różne należy kierować perswazje.

JAN OLECHNO

Przyczółek

1.

Jest to jedno z tych miast, które nigdy nie słyszały ryku fabrycznych syren.

Poddebice przycupnęły sobie na wielkim towarowym szlaku wiążącym Poznań i Łódź, wczepiły się weń kurczowo swoimi brukami rozjeżdżonymi przez ciężarówki, ale znaczący na nim tyle, co tabliczka z nazwą miejscowości. Wizytówką wielkiego świata był tutaj tylko ten potok aut ukazujących swoje maski albo zamknięte klapy, bo mimo wszystko Poddebice nie należały do szlaku. Miasteczkiem rzadziły jarmarki i cebula, którą jesienią zwozili okoliczni gospodarze.

Dla takich miast wymyślono kiedyś specjalny typ reportażu zaczynającego się od słów: muchy chodzą w gospodarze. Wyśmiewano się z niskich, karłowatych domków i skrętnie liczone na palcach ulice odchodzące od rynku wprost w ziemniaczane grzędy.

Stoję teraz na takim rynku i pytam o ZAKŁADY.

— Zakłady? — Powtarza dziewczyna, która przed chwilą wyszła ze sklepu i dźwiga torbę z zakupami. — To znaczy, odzieżowe?

Jeszcze trzy lata temu powitano by mnie pewnie wrzuceniem ramion. Dziś pytanie jest zupełnie na miejscu, więc dziewczyna tłumaczy jak tam trafić najłatwiej.

Są ukryte za rogiem, ale rozpoznawalne na pierwszy rzut oka. Architektura lat sześćdziesiątych. Wysoki biurowiec i hala fabryczna o zębatym dachu. Beton i szkło, tak wiele szkła, że mimo woli zastanawiam się: jak też oni to myją?

Zakłady uruchomiono 18 stycznia 1965 r. Jest to data leżąca w zasięgu pamięci, dlatego też nie ma kłopotów z jej odtworzeniem, zna ją każdy. W urzędzie zatrudnienia leżała setka podań od kobiet starających się o pracę: czekały na ten zakład.

Kiedy firmy budowlane zeszyły z placu, zaczęła się migracja. Skromna, obejmująca swym zasięgiem zaledwie kilka rodzin. Przybyły rozlokowali się na najwyższym piętrze biurowca, gotowali sobie na elektrycznych maszynkach, a kiedy pokazywali się na ulicy, goniły ich szepty pełne podziwu: Specjaliści. W baraku, gdzie zamontowano kilka maszyn, „specjaliści” rozpoczęli szkolenie przyszłej załogi. Kobiety zgłaszały się chętnie. Niektóre miały za sobą pokończony jakis kurs kroju i szycia, inne w domu wprawiały się w igle oszczędzając na krawcach, ale na miejscu okazało się, że to o wiele za mało. Maszyny były elektryczne, trąkotaly jak zwariowane, decydował refleks, wprawa, właściwy układ rąk, pochylenie ciała.

Po dwóch miesiącach tego wyczerpującego szkolenia barak zamknięto i dotychczasowi uczniowie, którzy jak za donknięciem czarodziejskiej różdżki po przekroczeniu bramy zakładu stali się robotnikami, wkroczyli do hal fabrycznych. Musieli doznać tego samego oświecenia, które odczuł reporter w zetknięciu z przestrzenią, światłem i mazią pastelowych barw w miejscu przemysłowego molocha. Można pomyśleć, że to kadry z jakiegoś propagandowego filmu. Wysoko, ze ścian, oprawione w specjalne stojaki zwieszają się kwiaty doniczkowe.

W hali, gdzie się szyje fanelowe koszule na eksport, staram się podpatrzeć rytm pracy. Zadanie daremne. W błyskach szaleńczo biegających igiel w stukocie włoczonych maszyn, których szeregi łóżone są w jeden produkcyjny potok gubie poszczególne fazy, płacze ich kolejność. Migają przed oczami kołnierzyki, mankiety pochwytywane natychmiast przez sprawne ręce dziewcząt.

W hali sąsiedniej widok nieco odmienny:

tu szyje się płaszcz. Reglan, laminowane. Konfekcja ciężka. Igły w maszynach także biegają bez wytchnienia, ale jakos inaczej.

— Bo my płaszcz szyjemy od niedawna — tłumaczy mi majstrowa w pokoiku służbowym. — Od stycznia.

Przejęcie na nową produkcję odbyło się w ruchu. Nie stanęła ani jedna maszyna. A może chciałbym porozmawiać z kimś z załogi? Kwa głowa i po chwili w pokoiku zjawia się pani Drzewiecka. Siada i gwarzymy.

Mnie interesuje proces zrastania załogi z zakładem. Drzewiecka pracuje tutaj od początku, wcześniej jeszcze w „terenówce” przy konfekcji lekkiej, tam się zarabowało 800 złotych. Teraz ma ponad 2000, więcej od meża.

— Bo mąż choruje — wyjaśnia lojalnie. Więcej nie wracamy już do tej kwestii. — Powiem panu, kobiety starszy się. Z początku były kłopoty, bo większość po raz pierwszy zetknęła się z przemysłem. Było i trochę nęguś, samy odeszli. Starszych kobiet zgłosiło się do pracy niewiele, same panienki. Wszystkie co przyszły razem z mna, to już mężatki, połowa załogi. I powiem panu, przywiązana jestem do pracy tutaj, nie chciałabym jej zmieniać. Mielibyśmy tutaj jedną panienkę, co niedawno wychodziła za mąż. Jej chłopak ma mieszkanie aż w Zgierzu. Jak się zwalniała, to trzy dni chodziła i płakała, nie chciała rzucić pracy i ją rozumiałam. Wypłakała się i wreszcie pojechała za mężem, też ją rozumiem.

Potem rozmawiałem z młodzieńką dziewczyną, Barbarą Wojteczak. Pracuje w zakładach dopiero kilka miesięcy, bo wcześniej nie miała lat, jak sama powiada. Zatrudniła się dorywczo do mycia słoików, chodziła zrywać truskawki; innymi słowami wykonywała te wszystkie zajęcia, na które przed uruchomieniem zakładu skazane były wszystkie jej rówieśnice mające już swoje lata. Można było odmienić swój los poprzez wyjście za mąż albo przez wyjazd do innego miasta.

— Mnie się za mąż nie śpieszy — mówi panna Barbara trochę zalekionym głosem, ale majstrowa uprzedzała, że dziewczyna jest raczej niesmiała. — Przyszedłam tu, do zakładu, po siedmiu klasach, a chciałabym się zapisać do korespondencyjnego liceum. Może jeszcze nie w tym roku, bo zamierzam wziąć na raty jakieś meble, żeby trochę ogarnąć mieszkanie.

Patrzę z pewnym podziwem. Ta dziewczyna, która zaledwie kilka miesięcy temu została robotnicą, łamiącym się głosem precyzyjnie wypowiada aspiracje swojej płci i swojej klasy.

Majstrowa chwali ją: — Zdolna, szybko opanowała robotę, radzi sobie jak stara szwaczka.

Potem wędruję do jeszcze jednej hali, gdzie zamontowano właśnie najnowszy model włoskiej maszyny do pikowania marki „Meca”. To już nie maszyna do szycia; skomplikowany agregat, na którym można wykonać 80 różnych wzorów. Prace na tej maszynie opanowano bez pomocy instruktorów zagranicznych, z prospektem w ręku. Nie na darmo zakłady zatrudniają dwóch magistrów inżynierów, kobiety.

— Nie mamy jeszcze tylko maszyn prasowniczych — skarży się dyrektor. — Weźmy do Łodzi to podraża koszyki A plany, coż, są napięte.

Mijać świadłość, która służy jednocześnie jako jadłalnica czytelnika: „Załoga wita V Zjazd Partii produkcją wartości 5.932.000 zł”.

2.

Pomiędzy halą produkcyjną i biurowcem jest kryty pasaż, z którego widać daszek rozpięty na żelaznych prętach i klebowe skosy rowerów. Obrazek ten stanowi wprowadzenie do problemu, który w języku fachowców określono przy pomocy formuły: na terenie powiatu istnieje poważne rezerwy siły roboczej, ale rozproszone. Tylko trzecia część pracowników zakładów mieszka w mieście, w bezpośrednim sąsiedztwie fabryki. Inni dojeżdżają: latem na rowerach, zimą jak Bóg da, najczęściej jednak przychodzi dobrnąć piechotą. Zakład wynajął wprawdzie od PKS autobusy, które dowożą ludzi z dwóch głównych tras, z Gostkowa i Zygrowa, ale szczęśliwców, którzy

mieszkają akurat przy samej szosie nie jest znówu tak wielu. Do autobusów trzeba dochodzić, polami i miedziami, nawet kilka kilometrów. Promień oddziaływania zakładów może imponować, ale dojazdy z ogromnych odległości i połączone z takimi kłopotami nie są zjawiskiem zdrowym. Tym bardziej, że podstawowy trzon pracowników stanowi pleć nie z grzeczności chyba tylko, nazwana słabą. Dodajmy — dziewczęta. Przeciętny wiek załogi dwadzieścia pięć lat.

Przyszły do fabryki prosto od ziemi. Niektóre, żeby uszładać sobie pieniądze na posag; inne, aby podreperować ojowiznę; wreszcie takie, i tych jest najwięcej, które z przemysłem chcą się związać na stałe. Dla nich roztanie z oracą jest orawiznym przeżyciem. A jednak niektóre odchodzą. Odchodzą na urlop macierzyński i nie wracają, bo gdzie znajdują dla dziecka żłobek. Żłobka nie ma w całym powiecie. Zresztą i on tylko częściowo rozwiązuje sprawę. Gdzie znajduje się matka, która zechce dziecień w dzień kilometrami nosić swoje dziecko na ręku przez śniegi? Więc młode matki najczęściej zwalnają się z pracy, a zakłady muszą przyjmować nowe, niewykwalifikowane pracownice.

Więc zakłady czwartą część swego zakładowego funduszu przeznaczają na mieszkanie. W liczbach nie wygląda to jeszcze zbyt imponująco, chociaż już ponad 20 osób skorzystało z pożyczek mieszkaniowych. Pionierzy znaleźli natychmiast sąsiadów: 150 pracowników założyło swoje docelowe kieszonki oszczędnościowe, żeby zamieszkać w Poddebicach. Chodzą na osiedle 500-lecia Poddebice i oglądają blok, które buduje tam spółdzielnia „Warta”. Majster Sabela zapisał się na domek jednorodzinny, ciasny, ale własny.

Ci, co się zapisał do spółdzielni mieszkaniowej, dokonali wyboru, ci są już sookojni. Ale innych ziemia trzyma jeszcze

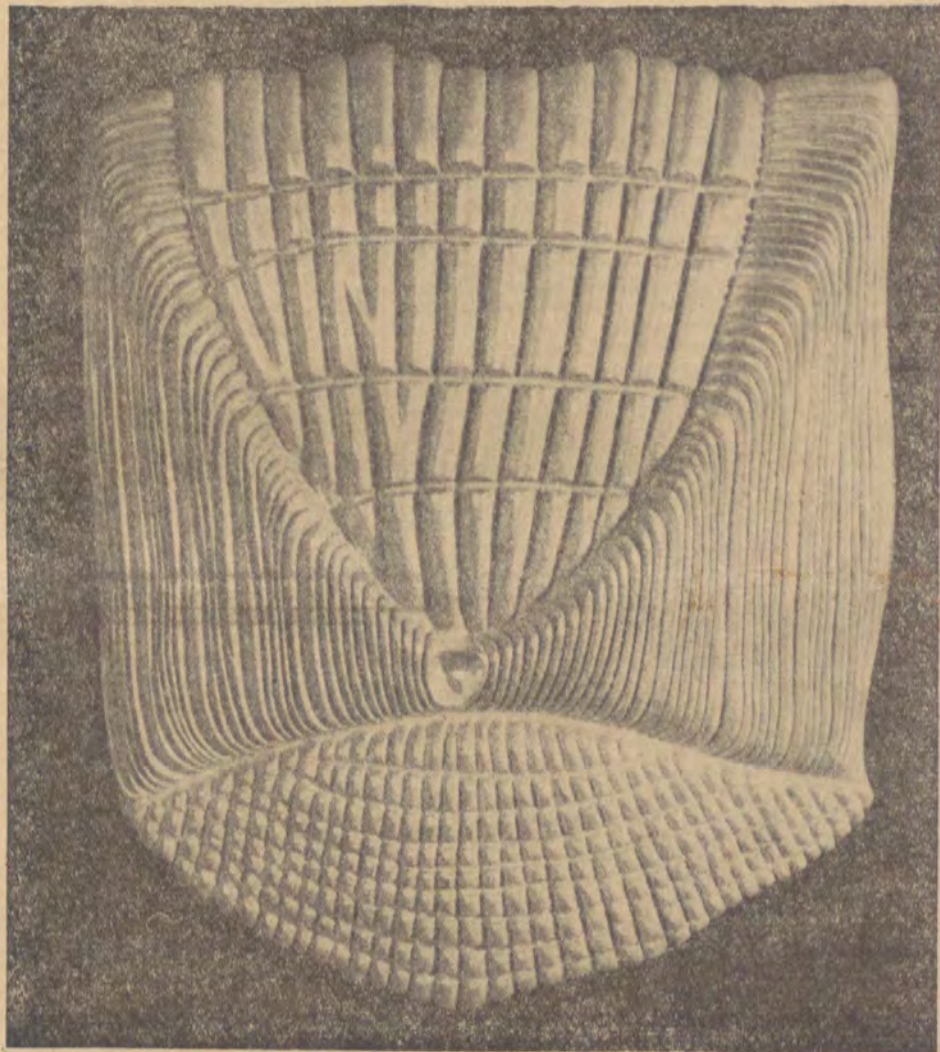
močno. W porze największych robót polnych cała załoga jednocześnie idzie na urlop; wracają do fabryki ogorzone, wymęczone, po ciężkiej harówce. Niektóre nie zdążą ogarnąć się z całą robotą, wymawiają pracę. Pod zimą zgłoszą się znówu, będą tłumaczyć, że przecież nie mogły zostawić ziemi.

Tych, co się dopiero zagospodarowują, srawiają pierwsze kroki nie stąd na taki luksus. Wracają do fabryki i pracują na dwie dniówki, u siebie i w zakładzie. Śmiertelnie zmęczone słaniają się przy maszynach, palce odmawiają posłuszeństwa. Potem wracają do normy, roboty w polu zakończyły się. Ale cykl robót polnych odbija się na produkcji.

Na niektóre z tych zjawisk trzeba przyznać oczy. Splotane jest życie człowieka rzuconego pomiędzy przemysł i ziemię. Wybaczają więc koleżankom to splatanie wstępowo towarzyski pracy i kierownictwa zakładu. Gniewają się, kiedy w karnawale, w poniedziałki usypiają przy maszynach. Bo wtedy wiadomo, że koleżanka już nie dniówkę, ale nockę odpracowała na wiejskiej zabawie.

3.

Zakłady odzieżowe w Poddebicach są przyczółkiem przemysłu rzuconego pośród pola, w regionie tradycyjnie rolniczym. Ale w ciągu trzech lat swego istnienia przemysł ten okopał się tutaj na dobre. Nie jest to ten przemysł, który zmienia krajobraz usypując haldy, zaturbowując wody i zmieniając wszystko na swej drodze. Przemysł lekki nigdy nie był przemysłem zabójczym. Jeśli więc mówię o szanie, jaka stwarza on dla miasta i jego mieszkańców, to w tym znaczeniu, że jego obecność zmienia przede wszystkim pech przez wewnątrz człowieka, czyni go wrażliwym i rozumnym.



Mieczysław Szadkowski. Kompozycja perlowa.

TERESA WOJCIECHOWSKA

Między uczniem a studentem

— Dlaczego postanowiła pani zostać bibliotekarką?

— Bo bardzo lubię czytać książki.

— A pani?

— Ja też lubię czytać. I lubię ciszę, a w bibliotece praca jest cicha i spokojna.

— A pani?

— Ja w zeszłym roku nie zdałam na bibliotekoznawstwo na Uniwersytecie Wrocławskim. Przez cały rok pracowałam w bibliotece, no i teraz przyszedłam tutaj.

Tutaj — znaczy do Studium Kulturalno - Oświatowego i Bibliotekarskiego w Łodzi, kształcącego kierowników i pracowników domów kultury, świetlic i bibliotek. Jest to jedna z dwóch placówek tego typu w kraju, druga znajduje się we Wrocławiu. Skromna, niewielka, mało się o niej mówi i słyszy, tak samo jak mało się mówi i słyszy o pracownikach, których kształci. Przeważnie raz do roku, z okazji dnia działacza kultury. To praca potrzebna i pożyteczna, lecz mało błyskotliwa i efektywna. A przecież jedna z tych zaradliwych, które przechodzą z pokolenia na pokolenie. Studium kształci już drugie po-

kolenie działaczy kulturalnych. Na przykład kierownik powiatowego domu kultury w Siemowicie przysłał tu swoją córkę.

Studium odwiedziłam na początku roku szkolnego, we wrześniu. Właśnie odbywał się pierwszy wykład z bibliotekoznawstwa. Prof. Balcerak zapoznawał się z nowymi słuchaczami, a raczej słuchaczkami, bo szkoła jest sferminizowana, na bibliotekarstwo jest 90 procent dziewcząt, na kulturalno - oświatowym — ponad 60 procent. Ten pierwszy wykład, to właściwie rozmowa, mająca na celu zorientowanie się w poziomie i zainteresowaniach słuchaczy. Nie wiem jak to pierwsze spotkanie ocenił wykładowca, mnie się wydało, że młodzież reprezentuje wysoki poziom i poważny stosunek do przedmiotu.

Studium istnieje już siódmy rok i po raz siódmy przyjęło wyższą liczbę słuchaczy niż przewidyuje limit, który wynosi 35 osób na każdym z kierunków. Dyrektor, Stanisław Zajackowski wie z pedagogicznego doświadczenia, że po kil-

ku miesiącach pewien procent słuchaczy wykrusza się, przyjmuje więc nieco więcej osób. A właściwie kto tutaj przychodzi? Młodzież, która ukończyła licea ogólnokształcące lub artystyczne. Może się to wydać trochę paradoksalne, ale absolwenci liceów artystycznych są szczególnie mile widziani. Bo dobrze jest, gdy kierownik domu kultury ma zamiłowania artystyczne i fachową wiedzę w jakiejś dziedzinie sztuki, dobrze jest również, gdy taką wiedzę ma bibliotekarz. Przy ciągłym rozwoju bibliotekarstwa, coraz ściślej się specjalizacji, coraz częściej potrzebni są bibliotekarze — specjaliści. Na przykład w chwili Biblioteka Uniwersytecka i Biblioteka im. Waryńskiego poszukują bibliotekarzy — muzykologów.

Nauka w Studium trwa dwa lata, program jest obszerny i wielostronnie potraktowany. Dla obu kierunków wspólne przedmioty to filozofia, pedagogika, psychologia, socjologia, literatura polska i obca, w wąskim zakresie ekonomia. Przyszli bibliotekarze ucza się ponadto bibliotekoznawstwa techniki bibliotecznej, pracy z czytelnikami, historii książki itd. Przewidywane są zresztą i zmiany w programie nauczania. Bibliotekarstwo stale się rozwija, specjalizuje i dziś obowiązki bibliotekarza są nieporównanie większe niż przed laty. Biblioteki, szczególnie

związkowe, czy przyzakładowe, obejmują dziś również dokumentację techniczną, racjonalizatorską, działy ściśle fachowe, czy wielofunkcyjne. Wy maga to od bibliotekarza nie tylko opanowania najnowszych metod pracy, ale również śledzenia osiągnięć nauki na bieżąco, systematycznego przeglądania piśmiennictwa popularnonaukowego.

W programie nauczania, obok teorii, poważne znaczenie ma również wiedza praktyczna, i właśnie jednym z podstawowych elementów nauki są praktyki. W pierwszym roku trzy godziny tygodniowo w jednej z większych bibliotek łódzkich, lub własnej przy szkole, niewielkiej, traktowanej jako warsztat. W drugim roku nauki dochodzi jeszcze czterotygodniowa praktyka w jednej z bibliotek terenowych. Opinią wydana przez te biblioteki jest jednym z czynników decydujących o dyplomie.

Oglądam prace dyplomowe. Pięknie oprawione, starannie napisane. Na ogół na poziomie prac magisterskich. Ich dodatkową zaletą jest, że rozpracowują na ogół zagadnienia dotyczące naszego miasta i województwa. Dla przykładu kilka tytułów: „Polskie wydawnictwa kartograficzne 1910—1939”. Albo: „Zagadnienia biblioteczne i czytelnice w

dzielnicy Śródmieście”. Albo „Praca punktów bibliotecznych w rejonach Łodzi w latach 1953—1965” i na zakończenie dyr. Zajackowski popokazuje mi prace: „Odgłosy — bibliografia zawartości. 1958—1965”. Do tego trzy skrzynki katalogów, które trzeba było sporządzić dla opracowania te matu. Jestem przekonana, że nikt z naszego zespołu nie zna tak dobrze swojego pisma, jak zna je w Studium.

O losy absolwentów — bibliotekarzy nie potrzeba się martwić. Są zatrudniani natychmiast, nie zdarzyło się jeszcze, żeby któryś z nich nie otrzymał pracy. Nieco gorzej jest z absolwentami kierunku kulturalno-oświatowego, to znaczy tymi, którzy chcą pozostać w Łodzi, bo po za Łodzią pracy jest pod dostatkiem. W Łodzi natomiast referaty kultury mają dobre chęci, ale małe możliwości zatrudnienia, a związki zawodowe duże możliwości, ale za to podobno mało dobrych chęci w tym kierunku. Nie zgłasza ja do Studium zapotrzebowania w ogóle. Z zatrudnieniem rzecz ma się odwrotnie niż ze zgłoszeniami na Studium. Bo wiem zawsze mniej kandydatów zgłasza się na wydział bibliotekarski niż na kulturalno-oświatowy. Prawdopodobnie dlatego, że perspektywy materialne są gorzej, a także dlatego, że bibliotekarze mają inne możliwości kształcenia.

Ośrodek w Jarocinie dokształca bibliotekarzy czynnych, tak samo swych pracowników dokształcała same biblioteki, np. Biblioteka Wojewódzka.

Część absolwentów wyjeżdża z Łodzi, tak czy owak, skład słuchaczy w połowie składa się z łódzian, w połowie z zamiejscowych, wśród których przeważają przedstawiciele województwa łódzkiego i kieleckiego. Stąd różne kłopoty internatowo-bursowe, które jednak przy dobrych chęciach wszystkich zainteresowanych powinny być bez trudności załatwione. Jest jednak inna sprawa, raczej dla egzystencji Studium istotna — sprawa normalizacji sytuacji formalnoprawnej. Bo w tej chwili właściwie nie wiadomo do jakiej kategorii Studium zaliczyć. Ni to szkoła, ni wyższa uczelnia. Studia półwyższe? Takie pojęcie oficjalnie u nas nie istnieje. Wiecej nie szkoła, bo przecież przychodzi tu maturzyści, absolwenci liceów, bo słuchacze są członkami Zrzeszenia Studentów Polskich, bo rok dzieli się tu na semestr, itd. Ale i nie wyższa uczelnia, bo stosuje się tu metody pracy szkolnej, bo absolwent nie uzyskuje dyplomu wyższych studiów, stopnia naukowego. Gorzej jeszcze, absolwentem nie zalicza się ani jednego roku na wyższych studiach, na wet na bibliotekoznawstwo. To są chyba sprawy do załatwienia.

JAN KOPROWSKI

## Z Libanu

Piszę do was ten list z Bejrutu.  
Bejrut leży nad Morzem Śródziemnym.  
Szukam miejsc po Juliuszu Słowackim,  
na grób idę Hanki Ordonówny.

Czy już zawsze tak będzie na świecie,  
że gdzie idą Polacy — Polska idzie z nimi?  
Czy nie można by wreszcie ojczyznę  
na czas jakiś w domu pozostawić?

Na osiołkach jadą młode dziewczęta,  
a kobiety przesłonięte czarczafem  
omijają życie pełne gwaru  
i jak cienie po nabrzeżu płyną.

Gdzież są cedry libańskie, o których  
piszą wiersze poeci Europy?  
Byłem w górach, lecz ich nie znalazłem —  
na sztandarach cedry wyszywane.

Na sztandarach cedry się zielenią,  
wiatr nadmorski do ziemi je zgina.  
O tych cedrach myślę, wciąż o cedrach,  
bo te cedry są drzewem ojczystym.

Bejrut, 26.III.1967.

## Podróż przez Syrię

Ziemia jałowa, kamienista,  
góry nagie, dotknięte trędem.  
Z nieba schodzi Pustynia Syryjska,  
na pustyni milczące wielbłądy.

Ziemia Kałna, ziemia Abła,  
Koranu, Biblii, Ziemia święta.  
Kto nas dzisiaj do pielgrzymki przynagla  
i prowadzi w kraj Mahometa?

W oliwkowych gajach — Damaszek.  
Tu spocznijemy, zmęczeni i starzy.  
Czas pomyśleć o ziemi naszej  
i obetrzeć pot gorący z twarzy.

Zimne mury oblewa słońce,  
które właśnie nad Baradą płynie.  
Czy to jest dziś, czy przed lat tysiącem,  
na łysej górze, czy w żyznej dolinie?

Są pytania bez odpowiedzi  
i odpowiedzi bez pytań.  
Stary człowiek nad Koranem siedzi  
A tymczasem mija noc — i świta.

Damaszek, 29.III.1967.

## Matka Gruzji

W jednej ręce miecz ognisty trzyma  
w drugiej — wino puchar srebrny.  
Matka Gruzji oplakuje synów,  
swoich synów dawno poległych.

Na pochyłym wzgórzu ementarz:  
tu poeci, mędry, wodzowie.  
Ale kto z nas będzie pamiętał  
młodą wdowę po Gribojedowie?

Młodą wdowę, Gruzinkę piękną,  
której mąż padł od kuli w Persji.  
Serce nie wytrzymało i pękło,  
serce wiernie do śmierci i po śmierci.

Matka Gruzji cała w bieli,  
młoda wdowa w żałobnej sukni.  
Któż się słowo wyrzec ośmieli?  
Wszyscy milczą i stoją smutni.

Tbilisi, w marcu 1967.

## Nad mogiłą Borysa Pasternaka

Nad twym grobem wysmukłe sosny kanadyjskie  
jak trzy płaciki pochylają się ku ziemi.  
A obok krzewy dzikiej róży,  
młoda brzołka i młoda jarzębina.

Stoję tutaj, sam i obcy,  
w południe majowe  
pod wysokim niebem, po którym  
przepływają białe obłoki.

Myślę o twoich wierszach,  
o Larysie i doktorze Ziwago.  
O tym, że przekłóciłeś Marię Stuart, Słowackiego  
i lubieś polskich poetów.

W wielkiej ciszy słychać przelot ptaka,  
ledwo słyszny szelest liści na wietrze.  
Cóż powiedzieć, gdy nie powiedzieć niepodobna.  
Blorę z ziemi mały kamyczek na namiątkę.

Pierścień, 25.V.1967.

(Z wyboru wierszy i przekładów, które pt. „SWOJE  
I BLISKIE” ukażą się niebawem w Wydawnictwie  
Łódzkim).

ZYGMUNT FIJAS

## Cztery wiosenne notatki prozą

PTASI KONCERT

W głębokich borach nadal panują  
barwy późnej jesieni. Ale w tym, bliskim  
naszym mieszanym lesie coraz głośniej  
rozlega się zawzięty werbel kujących  
dzieciolów, coraz weselej rozkwitają fiole-  
towe miódunki, niebieskie przylaszczki,  
zawilce.

Niebawem odlecą na południe nasze  
zimowe sójki, na ich miejsce przylecą  
inne, z dalekiej północy: znad Finlandii,  
Estonii i Łotwy; zięba zaczną swe „tsi-  
tsitsitsi tjutjutju cetirrr”.

Przedziwny jest nasz las: rosnące tu  
i ówdzie po młodnikach i zrębach kre-  
dowobiałe brzozy nie ubrały się jeszcze  
w zieleń, a już w nagranych miejscach  
możesz znaleźć piestrenicę lub smardza.

Pod koniec kwietnia samura urodzi  
warchlaki, nawet klusownicy będą  
ostrośniejsi wobec tego macierzyństwa;  
zaś na szczycie przydrożnej topoli — jest  
to piękna sokora o żółtawobiałym drewnie,  
przed jego urodą niechaj się schowa  
orzec kaukaski, czeczota brzożowa,  
sztuczny fornir — zaś na szczycie tej to-  
poli siądzie drożdżik w czasie przelotu  
do Szwecji, Norwegii a jeśli nie on, to  
drozd-śpiewak. I najchętniej wczesnym  
wieczorem, a nieraz aż do późnego zmie-  
rządu, będzie wyśpiewywał: „Filip, Filip  
— trafii, trafii, trafii”.

Powtarzać będą ten motyw ptaki  
przedrzeźniacze: szpak i kos, flectista.

A gdy w drugiej połowie maja dołączy  
się do tego tercetu wilga ze swym „iglio  
digilio, wywilgijo digilio”, powstanie  
piękny kwartet, który trzeba przetłuma-  
czyć na wiersz, romans, rozbudować w  
potężną symfonię pastoralną, nie zapo-  
minając o dźwięku mechanicznej piły  
i trzasku pni, zwałanych z wołaniem  
drwali: „A hooo, a hooo”.

W MIESCIE X.

Wieczorem zamrą na tym zakręcie  
dwie obtłuczone przez młodzież latarnie;  
zaczną sieć równy, maszynowy deszcz.

Taczający się na zakręcie stary, odra-  
pany ford nafasforyzuje kropel krystal-  
liczność, potem przetoczy się zapóźniony

buldożer na ogromnych kołach, gdzieś  
zadzwońią podkulki wozu i zaczną do  
siebie szczebrać dwa podwórzowe brytany.

Tylko w niewielu miasteczkach woje-  
wództwa łódzkiego można jeszcze prze-  
żywać taki mrok. A także w Dobrzyniu  
nad Wisłą. Ale trzeba by cofnąć wska-  
zówki zegara o jakieś trzydzieści lat. W  
Dobrzyniu, składającym się z czworoboku  
parterowych domków, pośród których  
zieleniła się murawa rynku, zaś na nim  
pasły się dwie kozy o mlecznych, śle-  
pých oczach.

W BIURZE PROJEKTÓW

Kreślarz w biurze projektów, marzący  
na głos o swych dawnych stronach, ma  
twarz potępięca, wspominającego cza-  
ry ziemskich ogrodów; najbardziej umę-  
czoną, gdy blask słońca chluśnie przez  
otwarte okno.

W milczeniu przyjmujemy jego słowa.  
Wszyscy wspominamy co innego: tamten  
fioletowe krokusy Tatr i ciemnobłękitne  
goryczki Pienin; tamta — niebieski bar-  
winek; ów — zajęczy szczawik, pogry-  
zany w czasie wycieczki szkolnej, cierp-  
kawy i kwaśny; inżynier — plaże Morza  
Czarnego, na których nigdy nie był;  
praktykant — podmokłą olszynkę gdzieś  
w Europie; jego koleżanka przy najbliż-  
szym rajsbrecie — marcowe koty, i mo-  
kry od rosy fiołek, znaleziony wczoraj we  
śnie.

Ciągle nic nie mówiąc, przenosimy z  
arkusza na arkusz szczegóły nowego wie-  
żowca, ślicznego przecież, to wiemy: zło-  
żyły się na jego projekt wieloletnie po-  
rażki i zwycięstwa profesorów: Pawła  
Klee, Kandynsky'ego Waltera Gropiusa ze  
szkoły Bauhaus w Dessau, ale dla nas ty-  
le on znaczy, co partytura trudnej sym-  
fonii, przepisywana codziennie od świtu  
do nocy przez skrzyplka, dorabiającego do  
swej pensji, w czasie urlopu, żmudne  
monetarne „boki”.

JEDZMY DALEJ, JEDZMY!

Nic nie widzi i nie słyszy tutejszy me-  
cenas, magister Wreżel: ani swej kształt-  
nej jak Venus służącej, wyżymającej  
w wannie włosy, potem — jedną ręką  
ściskającej ich pasmo tuż przy samej  
skórze, drugą pociągającej po nim grze-  
bieniem i równocześnie, wciąż na leżąc,  
odpierającej się nogą od wanny, jakby  
się chciała od niej odbić; ani — mece-  
nawsowej Loll, spasjoniej jak barokowa Le-  
da, i wyżymającej z pianina różne mod-  
ne trele-morele.

Mecenas nie ma dziś czasu. Nawet na  
dojście jajecznic z zieleń „madra”  
nie ma. I na docięnięcie bindy do swych  
wąsów, z którą wygląda jak oberproku-  
rator najświetszego synodu, wybierający  
się na bal. Obmyśla sposoby, jakich by  
użyć aby na jutrzejszej licytacji wypro-  
wadzić w pole swych konkurentów —  
w kupnie piętej parceli, puszczonej przez  
sąd „na bęben”.

Jeśli dodać do tych szczegółów dywan  
z Buchary, ratlerka śpiącego na parapie-  
cie, puf, na którym sztafruje się córecz-  
ka mecenasostwa, obwieszona świecidel-  
kami jak dzikus z Udangi, nie wypada  
nam nic innego uczynić, jak obejrzeć do  
światła nasz bilet określny i pomknąć au-  
tobusem w głucha ciemność, rozświetlaną  
niekiedy zielonkawoniebieskimi błyskami  
światła, jak na obrazie El Greca.



Fot. Fejja Sándor

# PERSPEKTYWY łódzkich teatrów

Na zakończenie tegorocznych obchodów Światowego Dnia Teatru odbyło się w Prezydium Rady Narodowej m. Łodzi spotkanie przedstawicieli łódzkiego środowiska teatralnego i członków Klubu Krytyków Teatralnych przy Stow. Dziennikarzy Polskich z przewodniczącym Prezydium mgr Edwardem Kaźmierczakiem. Podczas spotkania przewodniczący łódzkiego oddziału SPATIF, Kazimierz Iwiński, mówił o środkach, jakie łódzkie środowisko teatralne podejmuje dla dalszego podnoszenia poziomu naszych teatrów. Niżej publikujemy teksty wypowiedzi.

Łódź jest wprawdzie drugim co do wielkości miastem w Polsce, ale jest i przedmieściem stolicy. — Tak to już bywa, że podobno rzeczy godne uwagi dzieją się jedynie w centrum miasta — rzadziej na jego peryferiach. A tymczasem na peryferiach to i owo się dzieje. Korzystając z miłej wizyty sesji Klubu Krytyki Teatralnej, chciałbym o kilku aspektach działalności naszego łódzkiego środowiska dziś powie-

dzieć. Nie zamierzam zajmować się analizą działalności teatrów łódzkich. Z okazji bowiem Międzynarodowego Dnia Teatru teatry nasze, oczekując na miłych gościach, tak ułożyły swój repertuar, żeby pokazać to, co we własnym dorobku aktualnie uważają za reprezentatywne — za najbardziej godne uwagi. Nie znaczy to, że repertuar teatrów łódzkich Zarządu Oddziału SPATIF nie interesuje, lub że uważa ten problem w swojej działalności za marginalny. Przeciwnie. Repertuar teatrów łódzkich leży w centrum naszej uwagi i interesuje z dwu względów. Jako reprezentację ogółu środowiska aktorskiego Łodzi i jako współtwórców tego repertuaru w teatrach macierzystych. Jest to więc przedmiot — ściślej — podmiot naszej troski, uwagi i zainteresowania. Z ogromną uwagą śledzić będziemy uniesione prasowe, które będą niewątpliwie wynikiem sesji krytyki. Dobrze się stało, że ta sesja miała miejsce właśnie teraz — kiedy stojmy na progu szerokiej dyskusji o repertuarze naszych teatrów na sezon 1968/69. Niewątpliwie więc uwagą i życiem ludzi z zewnątrz będą pomocne całemu środowisku teatralnemu przy projektowaniu nowego sezonu.

Ostatni Walny Zjazd Stowarzyszenia, który miał miejsce w roku ubiegłym, w uchwalach i dezyderatach postawił jako na-

czelne zadanie dla działalności Stowarzyszenia — podniesienie rangi Stowarzyszenia — ergo środowiska twórców teatralnych.

Sprawą dla aktora najważniejszą jest repertuar, który kształtuje profil środowiska i osobowość aktora.

Dlatego i my w Łodzi po powołaniu nowych władz Zarządu Stowarzyszenia, podjęliśmy nielaty trud rozszerzenia wpływu reprezentacji aktorstwa na sprawę repertuaru. Nie tylko wpływu, ale i za ten repertuar współodpowiedzialności. Dlatego szukaliśmy możliwości osiągnięcia tego celu dwoma drogami. Poprzez ściślejsze powiązanie Zarządu Oddziału SPATIF—ZASP z grupą dyrektorów teatrów z jednej i poprzez ujednoczenie działalności rad teatralnych z drugiej strony. Wydaje nam się, że osiągnięcie ideału w tym względzie nie jest łatwe. Trzeba bowiem znaleźć złoty środek, który zachowując zasadę jednoosobowego kierownictwa w teatrze w osobie dyrektora — dawałby jednak możliwość szerokiej dyskusji o proponowanym repertuarze kierownictwa z reprezentacją zespołu. Dlatego też szukając takiego złotego środka przedyskutowaliśmy i dostosowaliśmy do naszych potrzeb ramowy projekt regulaminu rad teatralnych.

Wiele nadziei wiążemy ze sprawą działalnością rad teatralnych. Uważamy, że są one — i być powinny — znaczącym rozszerzeniem oświeconej ideowej demokracji życia teatralnego. Ze powinny stać się forum szerokiej dyskusji kierownictwa z zespołem w sprawie kluczowej działalności przedsiębiorstw teatralnych. Wreszcie — znaczną pomocą w realizacji zaprojektowanego planu repertuarowego.

Fakt, że stowarzyszenie nasze w rozmowach z grupą naszych dyrektorów — znalazło wspólny język i żywcie zrozumienie naszych intencji — jest dobrą prognozą działalności tych rad. — Także pełne zrozumienie naszych władz, które z nami regulamin rad teatralnych przekonsultowały — i zaleczy wprowadzenie ich w życie, rokuje pomyślny ich rozwój i prawidłowość działania. Czas i praktyka dnia wykażą, na ile nasz optymizm był usprawiedliwiony. Ale o tym pierwszym podniesieniu autorytetu środowiska poprzez aktywne bezpośrednie zaangażowanie artystów w sprawy teatru — uważamy, że celowe z przyjemnością dziś zakomunikować.

Podnieść bowiem autorytet środowiska można jedynie poprzez konkretną pracę — przede wszystkim we własnym teatrze, codziennie w zetknięciu z publicznością. Poprzez pracę, która jest celem i powołaniem aktora — poprzez coraz lepszy warsztat aktorski — coraz lepsze, doskonalsze przedstawienia.

I poprzez pracę środowiskową — poprzez inicjatywy społeczne, poprzez atrakcyjne przedsięwzięcia. Atrakcyjne zarówno dla twórców, jak i odbiorców. Poprzez wreszcie wszelkie możliwe kroki, zmierzające do scementowania środowiska aktorskiego z jednej a integracji środowisk twórczych z naszym miastem — z drugiej strony. Mamy w tej dziedzinie pewne osiągnięcia, które nas cieszą i o niektórych z nich słów kilka. Jako pierwsi w Polsce doszliśmy do pełnego zrozumienia wspólnoty naszych interesów i interesów tych, których mamy zaszczyt reprezentować. Z Zarządem Okręgu Związku Pracowników Kultury i Sztuki podpisaliśmy umowę o szerokim, długofalowym, serdecznym koleżeńskim współdziałaniu, którą konsekwentnie realizujemy.

Poprzez pełną wzajemną informację i pomoc we wszystkich sprawach środowiska aktorskiego.

Poprzez zwołaną przez obie zainteresowane strony Komisję Programową, działającą w imieniu i na rzecz obu kontrahentów układu.

Poprzez wspólną realizację wreszcie różnych form działalności kulturalno-oświatowej przy Klubie Związków i Stowarzyszeń Twórczych. Dzięki przychylności naszych władz w najbliższym czasie uruchomi swoją działalność klub, mający siedzibę w Łodzi przy al. Kościuszki 33. Tam mają siedzibę zarządy stowarzyszeń twórczych, tam będzie piękna sala restauracyjna, kawiarnia, czytelnia. Tamże wreszcie otworzymy teatrzyk małych form scenicznych. Na realizację tych zamierzeń popędziliśmy z pomocą materialną przyjaciele ze Związku Zawodowego — przyznając tej formie działalności roczną dotację w wysokości 100 tys. złotych i kompletną aparaturę projekcyjno-głośnikową, aby zamiast teatrzyku był to kino-teatrzyk. Pragnąc skupić wszystkich tych, którzy pragnęliby znaleźć tę formę wypowiedzi artystycznej, która się

mieści w featrze małych form — powołaliśmy sekcję inicjatyw przy Zarządzie Oddziału SPATIF — ZASP. Jest to sekcja o własnym samorządzie i o szerokim zakresie działalności. W tej chwili zrealizowano już „Raport z Monachium” Brychta w wykonaniu aktorów Teatru Jaracza, które to widowisko wyjechało do Szczecina na festiwal tego typu teatrów. W przygotowaniu — program kabaretowy, rapsodycznie realizowany mało znany Norwid, wieczór pt. „Federico Garcia Lorca” — pisarz i człowiek, i kilka jeszcze programów, uwzględniających wszystkie gatunki teatralne mające prawo obywatelstwa w naszym mieście. Na razie próby odbywają się chałupniczo, ale po adaptacji obecnej sali restauracyjnej na teatrzyk małych form — programy wyrosną jak grzyby po deszczu. Chcemy, by udział w tego typu imprezach dał satysfakcję artystyczną tym kolegom, którym nie wystarcza repertuar teatralny — którzy szukają też innych form wypowiedzi w swoich aktorskich zainteresowaniach.

A patronują tym akcjom mecenas tacy, jak: WKZZ, Łódzka Estrada, LOT i Towarzystwo Przyjaciół Łodzi, którzy zgłosili akces eksploatacji tych programów — co poza działalnością propagandową da również twórcom właściwe bodźce ekonomiczne, których znaczenia nie należy także nie doceniać.

Pragnąc realizować proces integracji środowisk twórczych, zainicjowaliśmy szereg spotkań z reprezentacjami tych środowisk. I tak zawarliśmy porozumienie o współdziałaniu, wzajemnej współpracy i pomocy pomiędzy Zarządem Oddziału SPATIF — ZASP a Zarządem Oddziału Związku Literatów Polskich. Cieszymy się niezmiernie z podpisania tego porozumienia, które obustronnie przyniesie wielokrotne korzyści — a nie będzie bez znaczenia i dla całego społeczeństwa naszego miasta. Tekst porozumienia jest szczegółowy i obszerny — i relacjonować go tu z braku czasu nie sposób. Niechże mi wolno będzie jednak podkreślić, że inicjatywa nasza spotkała się z pełną życzliwością i zainteresowaniem Związku Literatów Polskich i że porozumienie to powoli ale konsekwentnie będziemy realizować, rozszerzając nasze kontakty, wspólne akcje i wszelką współpracę.

Podobne porozumienie zawarliśmy także z Zarządem Oddziału Stowarzyszenia Polskich Artystów Muzyków, na którą to współpracę także bardzo stawiamy — jesteśmy bowiem sobie, jako stowarzyszenia i jako ludzie, nawzajem potrzebni. I wierzymy, że realizacja porozumienia przyniesie także korzyści społeczeństwu naszego miasta. Przygotowujemy się do podpisania podobnego porozumienia ze Stowarzyszeniem Dziennikarzy Polskich. W zasadzie program porozumienia, jego punkty główne, zostały już przekonsultowane i uzgodnione. W tym miesiącu skorzystamy z zaproszenia Stow. Dziennikarzy Łódzkich i weźmiemy udział w konferencji, która wytyczy główne kierunki tej współpracy, na której bardzo nam zależy i po której realizacji wiele sobie obiecujemy.

Jesteśmy wreszcie w stałym i ścisłym kontakcie z Tow. Przyjaciół Łodzi, którego wkład w upowszechnianie kultury teatralnej jest naszym zdaniem olbrzymi i niewymierny. Naszym zamierzeniem byłoby doprowadzić poza umowami i porozumieniami obustronnymi do powstania w Łodzi Komisji Porozumiewawczej Środowisk Twórczych m. Łodzi przy Klubie Związków i Stowarzyszeń Twórczych. Uważamy to w dalszej perspektywie za rzecz konieczną i do tego celu nie może zabraknąć naszego społecznego zaangażowania i cierpliwości w łamaniu oporów i uprzedzeń wynikających z wzajemnej nieznajomości i niezrozumienia wspólnych interesów twórców miasto Łódź zamieszkujących.

Najważniejszym naszym sojusznikiem na trudnej drodze jedności się poszczególnych środowisk twórczych, jest atmosfera jaka te poczynania otacza. Atmosfera, którą stwarzają i której patronują nasze władze z Komitetem Łódzkim partii i Prezydium Rady Narodowej na czele.

Jesteśmy przekonani, że klimat zainteresowania sprawami twórców przetrząsnął grzbiot niezasadnionemu kompleksowi prowinij, jaki w Łodzi tu i ówdzie dostrzeżni nieludno. I z którym będziemy walczyć i poprzez pracę zawodową i poprzez wszelkie akcje społeczne, zmierzające do tego, aby nam Łódź piękniała, rozwijała się i rosła — na chwałę mieszkańców tego miasta i grup twórców, którzy tej społeczności służą.



BOLESŁAW DUDZIŃSKI

## Ogniove próby

W klasie maturalnej — a było to jeszcze przed pierwszą wojną światową — czytaliśmy i tłumaczyliśmy z francuskiego m. in. nowelę Alfonsa Daudeta — „La dernière leçon” („Ostatnia lekcja”). Treścią tego pięknego i wzruszającego opowiadania była ostatnia — pożegnalna — lekcja języka francuskiego w jakiejś wiejskiej szkółce alzackiej. Alzacja — jak wiadomo — w wy-

niku wojny 1870—1871 r. — zagarnięta została przez Prusy i odtąd wszystko miało być w Alzacji po niemiecku.

Ta szkolna lekcja przypomniała mi się po upływie bardzo długiego czasu, gdy pewnego jesienno-go dnia 1939 roku moja córka, podówczas uczennica jednej z łódzkich szkół podstawowych, powróciła nazbyt wczesnie, północnym pociągiem do domu i na pytanie, co się stało, odrzekła przez zły: „Pani nam powiedziała, że lekcji więcej nie będzie”.

Wprawdzie Łódź to nie alzacka wioska, rok 1939 daleko odbiegł od 1871. Ale przecież zasadnicze elementy sytuacji opisanej przez Daudeta i tej, jaka powstała wskutek naszej klęski wojennej, były zbliżone. Ich miano: najazd, zabór i gwałt, a sprawcą w obu przypadkach był zachłanny militarizm. Owej pamiętnej jesieni 1939 r. wiele tysięcy młodzieży polskiej w Łodzi — i nie tylko w Łodzi — usłyszało, na

rozkaz gauleitera Greisera, z ust swych nauczycieli i wychowawców „bezapelacyjny” wyrok: „Leczyć więcej nie będzie”. Pamiętamy dobrze te ponure czasy. Hitlerowscy okupanci z obłądną wprost zaciętością tępił wszelkie ślady przedwojennego polskiego szkolnictwa: pod groźbą surowych kar zakazano noszenia jakichkolwiek dawnych odznak szkolnych; głupota i wściekłość hitlerowskiej haka-ty osiągnęła punkt kulminacyjny w zarządzeniu nakazującym wyprowadzić kolorowe wypustki ze spodni uczniowskich.

Do wielkiej gromady tych, którzy celowo pozbawieni zostali przez okupanta możliwości uczenia się w ogóle, należała również Hanka Lenkowska, bohaterka powieści Honoraty Chróścielewskiej — „Leczyć więcej nie będzie”. Przymusowe opuszczenie gimnazjum stało się dla tej młodej dziewczyny początkiem przeżyć i przygód, których sens nie zaw sze i nie od razu był dla niej w pełni zrozumiały.

Liczne kontakty z b. koleżankami szkolnymi, wśród których były dziewczęta z bardzo różnych środowisk oraz przymusowa (wszystko było wówczas przymusowe) praca w niemieckiej fabryczce „ersatz”-kosmetyków, a później na poczcie w charakterze listonoszki — wszystko to — na tle osobliwej struktury narodo-wościowej przedwojennej Łodzi — pozwoliło Hance Lenkowskiej ujrzeć, poznać i zrozumieć wiele spraw i zjawisk rzeczywistości okupacyjnej. Przedtem reagowała ona na nie raczej w sposób emocjonalny. Ale nauka nie poszła w las. W psychice i świadomości dorastającej dziewczyny zaszła ewolucja, której wyrazem stał się jej udział w pracy konspiracyjnej, uznanej za konieczność i obowiązek patriotycznej młodzieży polskiej. Te ewolucje zobrazowała autorka w sposób konsekwentny i wiarogodny.

W swej powieści, opartej niewątpliwie na materiale

autobiograficznym, Chróścielewska pokazała niemal wszystko, co składało się na powszednią rzeczywistość okupowanej Łodzi. A więc wszelkie stronne i złośliwe uposądenie ludności polskiej, getto, Rado-łoszcz, deportacje i rozstrzelania, różnicowaną postawę volksdeutschów i reichsdeutschów, zaczątki ruchu oporu i czynnej walki z okupantem, tajne nauczanie i gestapowskie „japanki”. Nie można mieć do autorki pretensji, że osoby występujące w powieści (a jest ich bardzo wiele) to raczej sylwetki, a nie postacie trójwymiarowe. Nie można też mieć pretensji o to, że opisane w powieści fakty, zdarzenia, spotkania i konfrontacje potraktowane są szkłowo i kalejdoskopowo. Przeciwnie w powieści Chróścielewskiej kryją się i splatają bardzo różnorodne i liczne wątki, a niemal każdy z nich zasługiwałby na specjalne i obszernie opracowanie. Nielatwą jest rzecz opowiedzieć to wszystko w jednej, stosunkowo niewielkiej

powieści, obejmującej nb. tylko pierwszy okres okupacji (1939—1941).

Sądzę jednak, że Chróścielewska wnieśli odtworzyła klimat i specyfikę okupacyjnej nocy nad Łodzią, i że z jej dzieł trafnie uchwyciła i pokazała czytelnikowi to, co przede wszystkim pokazać mu należało. A przez to właśnie oddała dobry przysługę zwłaszcza tym, którzy — z tych czy innych względów — wiadomości prawdziwe o rządach hitlerowskich w Łodzi czerpać dziś mogą głównie z przekazów książkowych, to znaczy bądź z opracowań historycznych, bądź też z beletrystyki będącej jednak owocem osobistych przeżyć autorskich, tak jak to właśnie rzecz się ma z powieścią Chróścielewskiej.

H. Chróścielewska — „Leczyć więcej nie będzie” — Wyd. Łódzkie, str. 228, cena 14 zł.

## O kino

## zaangażowane

Tym razem przedstawiamy naszym Czytelnikom wywiad z młodą włoską krytyką filmową z ekipy miesięcznika *Filmeritica*. Próbuje on w oparciu o doświadczenia włoskiej reformy proponować nowy model kina zaangażowanego.

\* \* \*

Charakterystyczną cechą nowego modelu kina zaangażowanego jest przekonanie, że używając słów znanego krytyka i filozofa Armando Plebe: „określone pojęcie można wyrazić w filmie wyłącznie za pośrednictwem klarownego i konkretnego obrazu. Ekran z trudem znosi aluzje i podteksty. (...) Widz w kinie nie może powtórnie „odczytać” obrazów, dlatego muszą one być jasne i precyzyjne”. A inny krytyk, redaktor *Filmeritica* Edoardo Bruno dodaje: „W społeczeństwie konsumpcyjnym nie można proponować produktu, który by nie został zrozumiany i „skonsumowany” przez odbiorcę. Oznaczało to by kontynuowanie biednej, arystokratycznej i idealistycznej koncepcji sztuki”. Zatem film ideologicznie zaangażowany musi być jasny i popularny w sensie dostępności dla szerokiego mas.

Aluzyjny i symboliczny sposób wypowiedzi Antonioniego, czyni jego dzieła, mimo, że wybitne, mało ideologicznie

zrozumiałymi dla przeciętnego widza. Natomiast ideologia Viscontiego jest zrozumiała, ponieważ zawarta w ramach zdecydowanej struktury narracyjnej. Jasność i logiczność filmu wymaga jeżeli nie anegdoty fabularnej, to przynajmniej pewnej przejrzystej kanwy narracyjnej. Pojęciu zaangażowania towarzyszy za tym nieuchronnie kryterium racjonalności i jasności.

Nowe kino zaangażowane powinno dyskutować i precyzować uczucia, idee, aktualne stosunki między ludźmi, ich sposób życia i postawy wobec rzeczywistości traktowanej w całej swej złożoności, bez apriorycznych schematów. Biorąc pod uwagę ten punkt widzenia może się zdarzyć, że czasem tzw. filmy eskapistyczne, komedie lub westerny mogą się okazać w znacznie większym stopniu zaangażowane, niż niektóre schematyczne filmy o tematyce zdecydowanie społecznej, lecz ujętej w sposób uproszczony i wulgarnie propagandowy. Kino zaangażowane musi rozwijać się w oparciu o pożywkę kultury, o wzajemną wymianę doświadczeń, idei, propozycji.

Film jest bez wątpienia sztuką najmniej elitarną i podobnie jak architektura z natury swej zmierza do funkcjonalności, ład i precyzji. W filmie łatwiej niż w innych sztukach, walczyć z pewnymi

zjawiskami formalizującego awangardyzmu, narzucanego przez system neokapitalistyczny. Jak mówi Bruno: „Sztuka filmowa dzięki swej racjonalnej, ludowej i realistycznej (bo opartej na fotografii) istocie, zdolna jest poddać w wątpliwość całą estetykę idealistyczną”. Dlatego też film stanowi najwłaściwsze narzędzie demaskacji społecznej, tym bardziej, iż zwraca się on bezpośrednio do wszystkich klas i warstw społecznych.

„Jedno z zadań filmu — mówi Plebe — należy szukać w sferze ideologii. Bliska sercu romantyków jedność typu psychologicznego prowadzi do lubowania się w fragmentaryzmie, w cząstkach, w szczegółach, natomiast jedność natury ideologicznej pozwala dotrzeć do sedna dzieła sztuki, do jego najgłębszego znaczenia”.

W przeciwieństwie do jedności estetyczno-psychologicznej — jedność ideologiczna stanowi owoc współpracy ze społeczną, łatwo znajduje odzwierciedlenie w społeczeństwie, stanowiąc znakomity materiał do dyskusji i polemiki, dostarczając krytykom i widzowi znacznie wartościowszych i istotniejszych kryteriów oceny niż subiektywne upodobania.

Pojęcie kina zaangażowanego nie oznacza oczywiście podporządkowania dzieła filmowego go mechanicznie narzuconej, zewnętrznej tezie, nie oznacza dosłownej ilustracji. Ideologia powinna przenikać sama strukturę narracyjną dzieła, powinna przenikać jego tworzywo myślowe i fabularne.

Sądzę, że należy odrzucić starą naturalistyczno-pozytywistyczną koncepcję realizmu jako „odzwierciedlenia” rzeczywistości, traktując go raczej jako ideologię aktywnej analizy, a jeśli to konieczne, modyfikacji rzeczywistości. No wcześnie dzieło zaangażowane to nie dzieło odzwierciedlenia, lecz dzieło interwencji. Zaangażowanie oznacza aktywny stosunek do rzeczywistości. Jest formą interwencji.

opr. M. K.

## SPRZYMIERZENIE

Nie pierwszy już raz pragnę zwrócić uwagę na wielkie zmiany, jakie w życiu współczesnego człowieka wnoszą telewizja. Wynalazcy i konstruktorzy, pracujący nad metodą przekazywania obrazu na odległość, nie mogli przed laty przeszło trzydzieści w części nawet przewidzieć wielokierunkowe oddziaływanie, jakie będzie miała telewizja.

Wyobraźmy sobie nasz kraj w obliczu wielkich zadań w zakresie krzewienia nowej, socjalistycznej kultury bez tego wspaniałego narzędzia. O ile trudniej byłoby dotrzeć z nowymi treściami do odległych zakątków, do wsi oddalonych od ośrodków życia kulturalnego, a o ile trudniej byłoby przekazać nam emocjonalnej strony debaty.

Telewizja, jak legendarny smok, pożera kilometry, w mgnieniu oka likwiduje wielkie dystanse i redukuje je do półtorametrowej odległości, z jakiej zwykliśmy patrzeć na szklany ekran. Zdobył jest to stojąca chyba w odwrotniej proporcjonalnym stosunku do intensywności życia kulturalnego w danym ośrodku. Dzięki tej właśnie zdobyczy trafiamy bez odbywania podróży do dalekiego teatru, sali koncertowej, muzeum, czy na przykład do sali sejmowej.

Tak! Bo dziś sala posiedzeń Sejmu przestała być po-

mieszczeniem, w którym mieści się kilkaset osób. Jej pojemność dzięki transmisjom telewizyjnym rozszerzyła się na miliony ludzi w całym kraju. To zasługa telewizji, że mogliśmy w ubiegłym tygodniu uczestniczyć w debacie wielkiej wagi, mającej ogromne znaczenie dla dalszych losów narodu.

Przysłuchując się transmisji obrad sejmowych, myślałem o tym, że żaden inny środek przekazu nie dostarczyłby tylu wrażeń i to w sposób tak bezpośredni. Lektura sprawozdań w prasie codziennej daje szansę wczucia się głębiej, wracania wzrokiem dla lepszego zrozumienia, do tekstu przeczytanego przed chwilą, ale nie jest w stanie przekazać nam emocjonalnej strony debaty.

W ten sposób sprawy poruszane w Sejmie stawały się natychmiast własnością całego niemal narodu, to jest tej olbrzymiej jego większości, która miała okazję oglądać transmisję telewizyjną. Sugestywność obrazu TV, przekaz wizualnych szczegółów aż po gest i mimikę mówców, przy obiekcie ideologicznej dysputy w obraz żywych ludzi, ich temperamentów, przejęcia i poczucia wagi chwili.

Jeżeli ubiegłotygodniowy program TV chciałoby się ocenić, to nasuwa się przede wszystkim fakt wielkiej aktywizacji Dziennika Telewizyjnego. Ta dobrze redagowana pozycja programowa nabrała szczególnych rumieńców, wypełniła się najistotniejszymi treściami, zaangażowała w całej rozciągłości w wielką narodową dyskusję, nie tylko informowała, ale i agitowała za słuszną sprawę.

Skomplikowana i nietłuma problematyka aktualnej sytuacji kraju wymaga wielu jeszcze nasświetleń i komentarzy. Dziennik TV podjął to zadanie z pasją i żarliwością. Wykorzystując pełny walor chłarstwa możliwości technicznych, relacjonując głosy prasy krajowej, nie skąpiąc komentarzy własnych, Dziennik TV dobrze przysłużył się w doprowadzaniu do naj-

szerszych mas sensu i treści walki, jaką podjęliśmy. Walki o godność naszego narodu, którą daremnie usiłują opłukiwać syjonistyczni oszczercy. Walkę przeciw wszelkim przeciwnikom spokojnego budownictwa socjalistycznego w naszym kraju. Walkę o idee i uczciwość w naszych szeregach.

Nie chciałbym przeceniać roli telewizji, która w argumentacji swej siłą rzeczy operuje skrótem, wyborem po dyktowanym ograniczonością czasową programu. Ale jako środek przekazu treści politycznych i ideowych zdała ona w ostatnich dniach poważny egzamin. Udowodniła, że w tym zakresie dawno skończyła z techniczną nieudolnością i prymitywem. Działaczom politycznym, kierownikom partii i rządu wyrosł potężny sprzymierzeniec, skuteczny instrument przekonywania i walki.

Jeżeli więc na wstępie tych uwag pisałem, że wynalazcy telewizji nie przypuszczali nawet, w jak wielu kierunkach będzie ona oddziaływała, to miałem na myśli właśnie nadawane ostatnią programy polityczne, pod których wrażeniem znajduję się, podobnie jak wielka rzesza widzów. Dopatryłem się konkretnej szansy dla telewizji — stania się wielką szkołą, czy uniwersytetem politycznego myślenia.

A w tym myśleniu politycznym występuje u nas tyle jeszcze braków! Tak bardzo potrzeba naszemu narodowi rozsądnej, realistycznej oceny sytuacji. Oceny nie skażonej bełkotem monarchistycznej rozgłośni, oceny zbudowanej na gruntownej znajomości faktów. Nie będzie przesadą, jeśli stwierdzę, że przed telewizją rozciąga się w tej dziedzinie szerokie możliwości. To jest stwierdzenie krępujące.

Władysław Branny

## spektakle tygodnia

	spektakli	widzów	proc.
<b>WIELKI</b>			
„Dama pikowa”	2	2552	100
„Straszny dwór”	1	1276	100
„Tosca”	2	2552	100
„Książ Igor”	1	1276	100
„Zemsta nietoperza”	1	1276	100
<b>NOWY</b>			
„Damy i huzary”	5	3000	90
„Piąty lot”	2	800	60
„Śluby panieńskie”	1	500	75
„Tkacze”	1	700	100
<b>NOWY — Mała Sala</b>			
„Żeglarz”	4	600	75
„Skiz”	2	240	65
„Szklana menażeria”	1	180	80
<b>POWSZECHNY</b>			
„Święta Joanna”	1	500	80
„Klub kawalerów”	2	1320	100
„Bereziacy”	1	660	100
<b>FILHARMONIA</b>			
koncerty symfoniczne	2	1500	100

# Może bysmy tak do KINA

Osobom o zdrowych nerwach możemy z czystym sumieniem polecić film amerykański reżyserii Johna Frankhelmera „TWARZE NA SPRZEDAŻ”. Ten „dreszczowiec” z domieszką niesamowitości można też odebrać jako dramatyczną opowieść o niemożności znalezienia własnej



twarzy we współczesnym świecie, o heroicznej walce o własną, autentyczną osobowość w społeczeństwie „obfitości”, które stara się wszelkimi środkami przyprowadzić swym członkom skrojoną na odpowiednią miarę „gebe”.

Czytelnikom, a zwłaszcza czytelnikom ceniącym przeżycia mocne acz szlachetne, polecamy gorąco wzruszający melodramat produkcji amerykańskiej „WATEŁA NIC” Sydneya Pollacka. Film to optymistyczny, pełen wiary w czło-wieka, a przede wszystkim w solidarność ludzką. Znakomita kreacja Anne Bancroft („Cudotwórczyni”).

Michał Diament — Akt.



# Kto, co, kiedy?

relacje  
niedyskrecje



Cesare Pavese

## CESARE PAVESE I JEGO TRAGEDIA

Niedawno ukazała się książka o Cesare Pavese, pisarzu którego niektórzy krytycy uważają za największego, obok Pirandella, pisarza włoskiego dwudziestego wieku. Autorem książki pt. „Kłeska Pavese'a” jest Dominique Fernandez, który w życiu wielkiego pisarza włoskiego i jego dziełach stara się dostrzec do źródeł psychologicznych jego skomplikowanej psychiki, nad którą od lat ciążyła obsesja samobójcza. Dziełko Fernandez wywołało ogromne zainteresowanie. Tragiczny los i samo bójcza śmierć Pavese'a przykuwa krwawą krytyków i historyków literatury.

Cesare Pavese poeta, eseista i powieściopisarz urodził się w małym piemontskim miasteczku St. Stefano Balbo. Był synem urzędnika sądowego. Gimnazjum kończył w Turynie, gdzie następnie studiował. Przez krótki czas był nauczycielem, potem lektorem w wydawnictwie Einaudi, którego był współzałożycielem. Jego literacki debiut to tłumaczenie na język włoski w roku 1931 dzieła Sinclaira Lewisa. Zamagazowany politycznie jako antyfaszysta został wygnany do Kalabrii. Intensywnie zajmuje się tłumaczeniem takich autorów jak: Melville, Sherwood, Charles Dickens i William Faulkner. W Kalabrii zajmuje się nadal

uprawianiem literatury, pisze poezję, a w roku 1936 wydaje zbiór wierszy pt. „Lavorare stanca”. W latach wojny jest uczestnikiem Ruchu Oporu. W roku 1943 wstępuje do włoskiej partii komunistycznej. Po wojnie jego nazwisko pojawia się często na łamach centralnego organu KP Włoch „Unita”. Okres wygnania w Kalabrii znajduje swe odzwierciedlenie w opowiadaniach „Il carcere” (Więzienie) i „Prima che il gallo canti” (Nim kur zapieje), w których zajmuje się tematem ludzkiej samotności. Rodzinny Piemont staje się temem jego najznakomitszej powieści pt. „Paesi tuoi” (Twoje włoski). Pisze następnie jeszcze szereg innych powieści. Wciąż jest czynny jako publicysta drukując eseje, wywiady, notatki z dziennika. Za powieść pt. „Tra donne sole” (Samotne kobiety) otrzymuje najwyższe we Włoszech wyróżnienie literackie Premio Strega. W parę dni potem, w dniu 27 sierpnia 1950 roku od biera sobie życie.

## HERCULE POIROT SIĘ POSTARZAŁ?

Ostatnio we Francji ukazała się najnowsza powieść Agaty Christie pt. „Trzecia córka”. Słynny bohater powieści tej pisarki detektyw Hercule Poirot jest w tej książce już bardzo stary. Pewna młoda dziewczyna zwraca się do niego o pora-

dcę, ale ujrawszy go woła: „Ach, pan jest zbyt stary, nikt mi o tym nie powiedział, że pan jest tak stary. Nie chce pana obrazić, ale jest pan za stary by zająć się moją sprawą”. Hercule Poirot jednak z właściwą mu uprzejmością nie tylko podejmuje się rozwiązywania trudnego problemu, ale po-

## „PTAK, KTÓRY NIE ISTNIEJE” WE FRANCUSKIEJ TV

„Wspaniały pomysł — to rzecz rzadka! A cóż powiedzieć kiedy takiej pomysłu podlega za sobą inne i jeszcze inne” — pisze dziennik paryski „Le Figaro” z okazji audycji telewizyjnej o ptaku, który nie istnieje. Temat audycji to poemat Claude Aveline'a, który stał się inspiracją i twórczym natchnieniem dla stu malarzy i to wybitnych. M. in. niedawno zmarły Oskop Zadkine rysował „ptaka, który nie istnieje” o czym pisaliśmy niedługo na tym miejscu. Przy okazji o-

trafi wykazać, że jego umysł działa równie sprawnie jak dawniej.

## GABRIEL MARCEL LITERACKIM LAUREATEM MIASTA PARYŻA

Wielką nagrodę literacką miasta Paryża w wysokości 10.000 franków za całokształt działalności pisarskiej otrzymał Gabriel Marcel. Urodził się w 1889 roku. Jest wykładowcą na wyższych uczelniach. Napisał wiele szkiców filozoficznych, jest krytykiem teatralnym i autorem wielu sztuk scenicznych.

mawianej audycji telewizyjnej uczczono pamięć tego artysty nadając wywiad z nim, przeprowadzony i sfilmowany trzy tygodnie przed jego śmiercią. „Le Figaro” podkreśla, że na przykładzie „ptaka, który nie istnieje” można dostrzec wzajemną inspirację artystów. Ptaka, o którym napisał poemat Claude Aveline rysowali m. in. Chagall, Aican, Carzou, Cocteau, Zadkine, Foujita (zmarły niedawno w Paryżu malarz pochodzenia japońskiego). Do przedstawienia ptaka, który nie istnieje zapalały się też dzieci, co pokazane było w audycji telewizyjnej, dla której krytyka nie szczęśliwie pochwała.



„Ptak, który nie istnieje” — rys. Foujita.



Jerzy K... Teos — nie błądź!

## ANTONI SZRAM

## KARTKI Z WYSTAWY

# Malarstwo Ireneusza Pierzgałskiego — Anno 1968

Po raz pierwszy w grudniu 1964 roku Ireneusz Pierzgałski prezentował swój dorobek. Większy zestaw prac (razem ze Stanisławem Fijałkowskim, Michałem Galkiewiczem, Andrzejem Łobodzińskim i Krystyną Zielińską) w łódzkim Ośrodku Propagandy Sztuki. Mimo że wtedy mani festacja pięciu łódzkich artystów nie osiągnęła takiego rozgłosu i oceny, jak w 1967 r. jej odpowiednik — krakowska grupa pięciu „Wprost” sfinansowana nagrodą krytyki artystycznej im. Cypriana Kamila Norwida, tym niemniej twórczość naszych pięciu zyskała szeroką aprobatę, zaś w perspektywie otrzymali oni za proszenie do udziału we wszy stkich najważniejszych imprezach plastycznych kraju. Dlatego dziś należy przywołać sobie w pamięć — z okazji aktualnie gorąco prowadzonej dyskusji pod hasłem: „czy jest w Polsce Ruch Artystycz-

ny?” — układ sił oraz nie tak dawną wysoką pozycję łódzkiego ośrodka, nasz wkład artystyczny w rozwój sztuki polskiej. Dziś musimy z żalem stwierdzić, że łódzka twórczość nowego rzutu czyni wrzenie regresu, znaczenie jej dziwnie przyszło. Brak na przykład twórców, którym udało się zastosować w swoich eksperymentach najświeższe odkrycia elektroniki, indywidualności, które podjęłyby dialog o wykorzystaniu zdobyczy nauki i techniki dla swoich realizacji plastycznych, nowego wyobrażenia czasu i przestrzeni, rzeczywistości ery kosmicznej.

Może niektórym wydaje się, że to robia, może do nich należy właśnie Ireneusz Pierzgałski? Z zaślepioną miłością, z równie zaślepioną pasją pragnienia „cudu nad cudy” stworzył w jakiś sposób to, co pokazał nam w Salonie Sztuki

Współczesnej w lutym br.: „wszystko” i „nic”...

Może właśnie cztery lata temu stały się cud. W wyniku porównania dzisiejszego zestawu prac okazało się prawdą, że płótna pokazane w 1964 r. tchnęły jeszcze dużą świeżością użycia „znaku” rzuconego podziem. Farba posiadała swoistą konsystencję materiałną, ułożoną w płamy, układy bardzo interesujące. Obrazy działały materia, jakby „mało wane przed napisanie”, było to swego rodzaju nawiazanie do pięknych popisów Pollocka, Mathieu, malarstwa gestu Soula, a na gruncie polskim — nieprzypadkowo zrzeszają — do tasyzmu Zdzisława Głowackiego, czy swoistego malarstwa gestu Teresy Tyszkiewiczowej. Rysunki i płótna z lat 1962 — 64 — 65 przydały sławy ich autorowi, tak samo grupie 5-chu (w której wystartował). Dziś chyba jednak zagubił się we własnym sosie, takie odnoszą wrażenie. Poszczególne prace cechuje przeestetyzowanie, owa „beznamiętność” obra zowania, która czyni z autora specjalistę od lakierowania plams, plaszczyzn metalowych kolorami o intensywnej jasności (czerwony, czarny, biały). Obrazy te łączą w jedno koncepcja — czyni podobnym to, co Ireneusz Pierzgałski ujął w przeciwstawieniu „uczuciowego zabarwienia”, bez którego nie można malować płótna w konwencji realistycznej —

„beznamiętności”, z którą nie można uprawiać malarstwa sztalugowego — czyli niejako środków malarskich. Świadomość rozpadu harmonii w sztuce nieprzestawiającej Ireneusz Pierzgałski chce zrekom pensować powrotem do równowagi między apriorycznym i empirycznym, emocjonalnym i intelektualnym działaniem swego malarstwa. Usiłuje przez kazać elementarne przemyslenia i doświadczenia naukowe z pewną dozą „naiwnego” wi dzienia, co pozwala częściowo rozwiązać (przynajmniej w chwili autoprojektacji) antynomie artysta — odbiorca.

Dużych wymiarów plansze Ireneusza Pierzgałskiego działają mocno, piękno wydaje się bliskie — ale tak wydaje się chyba tylko naiwnym oczom emokierów, którzy ulegają roz dwojeniu wyobraźni i życia. Obrazy te nie mogą być przed miotem adoracji wszystkich tych, którzy łączą ściśle rzeczywistość ze sztuką. Oczywiście, nie można twier dzić, że miernikiem malarstwa jest komunikatywność, ale w świetle ostatniej wystawy naszego malarza wysunął bym jeden zarzut: Ireneusz Pierzgałski, jest dzieł z całą swą koncepcją przestarzały, a z całą swą wrażliwością jak i wywodami teoretycznymi po pada w objęcia anachronizmu. Pokazał malarstwo odarte z normalności, zastąpił kształt doskonałości — wymyślności

stanowi leitmotiv twórczości tego autora.

Refleksje takie nasuwają się po obejrzeniu wystawy i prze czytaniu pięciu zdań wydruko wanych wersalikami (z tłumaczeniem) „na odwrótkę” w ulotce przygotowanej przez Ireneusza Pierzgałskiego specjalnie na wernisaż. Zerkając w lusterko odcyfrowałem treść owej depeszy:

TEN NIEWINNY ZART  
MOŻE B  
YC PRZYKŁADEM JAK  
POWST  
AJE UTWOR O  
WARTOŚCIACH A  
RTYSTYCZNYCH I, TO CO TU  
NAPISANO WYDRUKOWANE  
NORMALNIE ZOSTALOBY PO  
ZBAWIONE NIEOCZEKIWAN  
YCH NASTĘPSTW Z LUSTRO  
DAJE MOŻLIWOŚĆ OGLADA  
NIA PRZEDMIOTU KTÓRY  
ZO  
STAŁ WPLĄTANY W PRO  
CES  
SWOBODNEGO DZIAŁANIA 3  
DWIE POSTACIE TEKSTU  
ROZ  
CIĄGAJĄ UTWOR W CZAS  
SIE D  
OLĄCZAJĄ RUCH POSIADA  
CZA LUSTRA 4 ISTOTA  
UTW  
ORU PRZECHODZI NIEPOST  
RZEŻENIE W SFERĘ POMIĘD  
ZY TEKSTAMI 5

Wnioski, jakże wyciąga czy telnik-widz utwierdzają go w

mniemaniu, że żyjemy w czasach uniemożliwiających ciekawszemu rozwojowi malarstwa sztuki ługowego lub rzeźby tradycyjnej. I choć symboliczne znaczenie będzie miał ów tekst depeszy, jest tu sporo przekory, ale i programowości za razem. Można się spierać, czy jest to tylko żart czy manifest serio, bowiem to, co dawało podstawy do takiej deklaracji — malarstwo Ireneusza Pierzgałskiego — wyraża się pragnieniem ucieczki od konwencjonalizmu. Ta szczerą pogoda za efektywnym sukcesem okazała się absurdalna i przede wszystkim niemożliwa na razie do zrealizowania w salonach BWA. Idea Ireneusza Pierzgałskiego została zlekceważona przez organizatorów wystawy: niedbale podwieszano na suficie papierowe pudła prostopadłościowe, przeladowano ściany obrazo-planszami zaceplonymi na sznurkach, w ogóle dostatecznie nie oświetlając ekspozycji rzucono ją na łup anonimowego odbiorcy; w rezultacie nie spełniając tych wszystkich kuszących obietnic, którymi kokietował nas autor w swojej dedykacji. I kogo to ma obchodzić?

# Wydarzenie na ulicy PSA

Tak się złożyło, że Aleksander Holtz wyszedł z knajpy i znalazł się w miejscu spotkania dokładnie na pół godziny wcześniej. W oczekiwaniu na obiekt swej miłości odprawiał oczyma każdą kobietę przesuwaną się w poprzek ulicy, i z niecierpliwością uderzał laską o drewniany słup. Wyczekiwał tęsknie i pożądliwie, z czarną pewnością zakończenia. A czasem, uśmiechając się do wspomnień, myślał, że wszystko skończy się jak najlepiej.

Nadszedł wieczór; wążutka jak szczelina ulica Psa zasnuła była złotym kurzem, z brudnych okien wydobywał się kuchenny czad roznoszący w powietrzu zapach przypalonego pożywienia i wilgotnej bielizny. Po bruku wleczli się handlarze warzyw i zbieracze szmat, zwracając na siebie uwagę ochrypłymi okrzykami. Z drzwi piwiarni co jakiś czas wytaczał się o powolnych ruchach ludzie; po wyjściu szukali najpierw punktu oparcia, potem wzdychali, nasuwali kapelusz jak najniższej aż do nasady nosa i szli z ponurym, to znów z pogodnym wyrazem twarzy, przez sadnie mocnymi krokami.

Witaj!  
Aleksander Holtz drgnął całym ciałem i odwrócił się. Ona stała przed nim w niedbalej pozycji, jak gdyby zatrzymała się mimochodem, na chwilę, aby zaraz odejść. Jej smągła, ruchliwa twarz ze smutnym spojrzeniem i kapryśnym wykrzywieniem brwi unikała oczu Holtza; przysłoniła się przedmiotem, na którym stała.

Kochana! — niepewnym, delikatnym głosem powiedział Holtz i zatrzymał się.  
Zwróciła twarz w jego stronę i obojętnym ruchem oczu obrzuciła jego pstrokaty krawat, kapelusz z piórem i gładko wygolony ledwie drżący podbródek. Ona jeszcze na coś czekała; zobaczymy.

Ja... — Holtz wyszeptał coś i zaczął poruszać wargami. Potem wsunął rękę do kieszeni, wyciągnął kawałek afisza i rzucił. — Pozwól mi... — Tu jego ręka dotknęła ręką kapelusza. — I tak oto między nami wszystko skończono?

Wszystko skończone — jak echo wymówiła kobieta. — I po co pan chciał się jeszcze ze mną zobaczyć?

Więcej... po nic — z wysiłkiem powiedział Holtz. Kręciło mu się w głowie z nieścisłością. Zrobił krok do przodu, nieoczekiwanie dla siebie wzięły delikatną, pogardliwie

posłuszną rękę i natychmiast ją puścił.

— Zegnaj — wy dobył z siebie ciężkie jak góra słowo. — Pani wkrótce wyjeżdża?

— Teraz ktoś inny mówił za niego, a on słuchał, sparaliżowany męczącym koszmarem.

— Jutro. — U mnie została parasolka. — Kupiłam sobie drugą. Zegnaj pana.

Wolno skinęła mu i poszła. Słup okazał się mocniejszy niż laska Holtza: delikatny przedmiot z kości rozpadł się na kawałki. Uparcie patrzył na oddalającą się dziewczynę, ale ona ani razu się nie obejrzała. Potem jej postać zasnolił węglarz z wielkim koszem. Kawałek kapelusza wynurzył się zza rogu — to wszystko.

### II

Aleksander Holtz otworzył drzwi pobliskiej restauracji. Gwarnie tu było i ludno; skośne promienie słońca błyszczały w gęstym wojsku butelek drażniącą gra barw. Holtz usiadł przy pustym stoliku i krzyknął:

— Garson!  
Uprowadzając grzecznego mężczyźna w brudnym półkoszulku podbiegł do Holtza i zdmuchnął kurz ze stolika. Holtz powiedział:

— Butelkę wódki.  
Kiedy mu podano, nalał do kieliszka, upił trochę i pisał. Oczy jego miotły iskry gniewu, nozdrza rozdymały się wściekle.

— Garson! — ryknął Holtz. — Ja nie proszę o wodę, do diabła! Proszę zabrać tę cieć, której pełno jest w każdej studni. Wódki chce, przedej!

Wszyscy, nawet najbardziej flegmatyczni, zerwali się z miejsc i kołem otoczyli Holtza. Zbiły z tropu służący przysięgali że w butelce była prawdziwa wódka. Wśród ogólnego zamieszania, gdy każdy z obecnych wypijał trochę wody, aby przekonać się o racji Holtza, przyniesiono nową zalakowaną butelkę. Właściciel gospody z obrażoną i naburmszoną twarzą człowieka, który wbrew swojej woli znalazł się w nieodpowiedniej, dwuznacznej sytuacji, sam wyciągnął korek. Jego ręce pieczołowicie, trzęsąc się ze zdenerwowania, napełniły kieliszek płynem. Ambicja nie pozwalała mu spróbować, ale nagle, zdjęty zwątpieniem, wziął łyk i splunął: w kieliszku była woda.

Holtz rozpoznał się i cicho się śmiejąc, w talszym ciągu domagał się wódki. Powstał straszliwy rwetes. Woskowa ze strachu twarz karczmarza odwracała się z jednej strony w drugą, jak gdyby prosząc o pomoc. Jedni krzyვეli, że właściciel restauracji jest łobuz, że należy wezwać policję; drudzy zażarli twierdziłi, że łajdakiem jest właśnie Holtz.

Inni z kolei pobożnie zaczęli coś mówić o diable: ich ograniczone mózgi zastraszone przez całe życie, nie były w stanie wyjaśnić tego wydarzenia nie wiążąc go z siłą nadprzyrodzoną.

Dygocząc z gorąca i zdenerwowania gospodarz powiedział:

— Wycieczcie... Słowo honoru, nie mam pojęcia! Nie wiem, nie wiem; dajcie mi spokój! Matko przesyłał Dwaście lat handluje, dwadzieścia lat!

Holtz wstał i uderzył grubasa w ramię.

— Mój drogi — powiedział wkladając kapelusz — nie mam do pana pretensji. Pańskie butelki chyba są z perkalu — nie też dziwnego, że spirytus się ulatnia. Zegnami i wyszedł nie odwracając się, ale wiedział, że za nim suną zdziwione, otwarte gęby.

### III

Historik (według słów które go zapisałem to wszystko, co jest powyżej i niżej), od chwili wyjścia Holtza na ulicę, z cydowanie sprzeciwia się temu, co dowodzi rzeźnik. Rzeźnik twierdzi bowiem, że ów dziwny młody człowiek skierował swe kroki do piekarni i tam zażądał funta sucharów. Historik, którego nazwiska nie wymieniam, jako że prosił mnie o to, ale osoba to bardziej zasługująca na zaufanie niż jakiś tam rzeźnik, klnie się na Boga, że młodzieniec zajął kupować jajka u baby na rogu ulicy Psa i Zaułku Sierpich. Kontrowersja ta jednak nie wnosi istotnych zmian do treści wydarzenia i dlatego właśnie zatrzymuję się na pie karni.

Otwierając jej drzwi Holtz obejrzał się i zobaczył tłum. Ludzie najprzeróżniejszych za wodów, starej, dzieci i kobiety; tłoczyli się za jego plecami, dyskretnie gestykulowali i pokazywali jeden drugiemu palcem tego dziwnego człowieka, który skompromitował właściciela restauracji. Historyczna ciekawość rozwodniona ciemnym strachem niewiedzy, ciągnęła ich w ślad za nim jak sforę psów. Holtz zmarszczył czoło i wzruszył ramionami, ale natychmiast roze śmiał się. Niech tamia sobie głowy — oto jego ostatnia dziwna zabawa.

Podszedł do lady i poprosił o funt słodkich sucharków. Piekarnia wypełniła się kupującymi. Wszyscy, komu trzeba i komu nie trzeba, kupowali i chcieli zagładać w kamieniu, surową twarz Holtza. A on, jakby nie dostrzegł ich.

Wśród ogólnego napięcia ustyszano głos ekspedientki: — Mój panie, a cóż to znówu? Szala wagi wypełniona sucharami nie mogła przeważać funtowego odważnika. Dziewczyna wyciągnęła rękę i mocno pociągnęła w dół za łańcuszek wagi — jak przykutą, bez ruchu, tkwiła druga szala.

Holtz roześmiał się i pokłiwał głową, ale jego śmiech był ostatnią kroplą w naczyniu strachu jaki owaładnął obecnymi. Popychając się i krzycząc rzucili się do ucieczki. Chłopcy ścisnęli w drzwiach piszczał jak zarzynani. Zupełnie zdezorientowana, purpurowa ze strachu, stała ekspedientka.

I znów Holtz wyszedł trzasnawszy drzwiami tak, aż szy-

by zadzwoniły. Chciało mu się coś polamać, potłuc, uderzyć kogoś. Chwiejąc się, z bladą rozgorączkowaną twarzą, z kapeluszem zsuniętym na ucho, sprawiał wrażenie nienormalnego. Byłoby lepiej dla starej gdyby nie wiazała mu w drogę. Z jej straganu wziął jajko, rozbił je i wyjął ze skorupy złotą monetę. „Aj!” — krzyk nola osłupiała kobieta i krzyk jej został podchwycony przez „Ach!” tłum tarasującego ulicę.

Holtz natychmiast odszedł szperaając w kieszeni. Czego tam szukał?

Ludzie otaczający starą krzyce, jedni dławili się śmiechem, inni znów obrzucali się bezmyślnymi przekleństwami. Był to rzadki widok. Starce, chciwie ręce z oszalałym pośpiechem tłukły jajko za jajkiem; zawartość ich ciekła na bruk i zwiwała się w kurzu, tworząc śliskie plamy. Ale nie było więcej w żadnym jajku złota, i placzliwie mlaskaty bezczelne usta rzygały starczyimi plugawymi słowami: a wo kolo, trzymając się za brzuch, jęczęli ze śmiechu ludzie.

Gdy Holtz już doszedł do placu, wyjął z kieszeni ni mniej ni więcej tylko pistolet i najspokojniej uniósł lufę do skroni. Jasne pióro kapelusika ukrywającego się za rogami prześladowało go. Naciśnął spust, głośny huk wystrzału odepchnął wieczorną ciszę i na ziemię upadł trup, ciepły i po drygający.

Od żywego trzymali się w przyczynionej odległości, do mar twego biegli na złamanie karku. Więcej to tylko człowiek? On na prawdę umarł? Gwar pytań i okrzyków wypełnił powietrze. Zapisana kartka znaleziona w kieszeni Holtza była przedmiotem wnikliwych komentarzy. Z powodu kobiety? Tfu! Mężczyzna, który zatrwożył całą ulicę, człowiek, co jednym przyprawili o zachwyt naiwny, innych — o wściekłość i narzekania, nastraszyl dzieci i kobiety, wymował złoto z takiego miejsca, gdzie nigdy go nie było — ten człowiek umarł z powodu jednej spódniczki?! Ha! Ha! Czemu jeszcze się dźwię?

Przemówienia pogrzebowe nad ciałem Holtza były wygło-

szone fu, na ulicy, przez restauratora i przez starą przepknie. Stara radośnie piszczała, krzyczała!

— Szarlatan!  
Karczmarz rzucił złośliwie z wyraźną przyjemnością:

— Tak!  
Mieszczanie rozchodzili się, trzymając swoje żony i kochanki pod rękę. Mało który z nich nie kochał w tej chwili swojej przyjaciółki i nie ścisłał mocno jej ręki. Oni mieli to, czego nie miał zmarły — własną talę. W ich oczach był on beznosny i żalony — to nic, że miał jakieś osobliwe zdolności; przecież i tak był nieszczęśliwy, jakie to przyjemne, jakie to przyjemne, jakie to niezwykle przyjemne!

Nie martwcie się — wszyscy byli zadowoleni. I, podobnie jak w drewnianym budynku, gdzie zdeptała się żarząca się zapalną, oni gasili w sobie myśli: „A może, może — on może jeszcze czegoś potrzebował?”

Tłumaczył:  
ROMAN GORZELSKI



Fot. Martin Martinec



## Lewym okiem

### TAKIE JAKIEŚ PROPOZYCJE...

Z okazji zakończonych niedawno Wiosennych Targów Krajowych wysłuchałem chcąc nie chcąc kilku prelekcji plastyków na temat kierunków mody, kilku odczytów Wysokich Dyrektorów o modzie i kilku konferencji prasowych, poświęconych modzie. Szaleństwo z tą modą, ale niech tam, jeżeli niczego już nam poza nią do szczęścia nie brakuje. Była połowa marca i poza terenem Targów działy się różne rzeczy, na Targach jednak moda była słowem najczęściej dsklinowanym.

Były też pokazy mody — wszędzie, gdzie tylko dało się je upechnąć. Taki pokaz to dobra rzecz, bo i modelki zarobią, i ten pan z baczkami przy mikrofonie, pełen przedziwnych słów wypowiedzianych z miódopłynną nonszalancją, i ten drugi pan przy elektrycznych organach, i jeszcze znacznie więcej, znacznie ważniejszych panów, którzy mieli „koncepty”, robili „scenariusz”, opracowywali „opisy” i wiele innych rzeczy. Jeśli pokaz

odbija się w lokalu — przyglądają mu się od zastawionych stolików dyrektorzy tych samych zakładów, które przygotowały pokaz, klaszczą więc sobie samymi i koto się zamyka. Jeśli pokaz jest pod gołym niebem — przystanie czasem trzech starszych panów, żeby się podzielić uwagami o kolanach modelki. Jeśli w kinie przed seansem — publiczność solidarnie gwizdła i tupie, żądając filmu, a nie prelekcji o „tej jakiejś uroczej propozycji jesienno-wiosennej na pogodnie popobudnia w tonacji złamanej ochry”.

Słowo „propozycja” zrobiło karierę w sferach kulturalno-artystycznych. Ludzie wymyślający mini-kostiumy i — co gorsza — spodniowy (sic! Sam wielokrotnie słyszałem), baletki, pantofelki i guziki — to też artyści. Też nie mają pomysłów, tylko propozycje. W dodatku są to zawsze „jakieś propozycje”. Zauważcie te zbitki słów, tę najmodniejszą słowną sztampe. Otóż z wystuchanych ciurkiem prelekcji o modzie wynikało, że cały Zachód — a tylko Zachód się liczy u plastyków i modotwórców — cały Zachód lansuje „tę jakąś propozycję”, nawiązując „jakos” do... mundurów wojskowych, do żołnierskich rekwizytów, do frontowego szyku. Damskie stroje — wciąż jeszcze raczej krótkie — zaczyna się uzupełniać pagonami, rzędami błyszczących guzików, prawdziwym paskiem. Młodzi mężczyźni zagustowali nagle w trzewikach z wysoka cholewka, przypominających żołnierskie mankiety, wpuszczając nogawki do środka — zupełnie jak strzelcy podhalącymi. Przy marynarkach i wdziankach znów naramienniki, guziki, wąski wykrój dekolbetu. I nawet kolory: oliwkowy, khaki, szarozielony...

Wszystko to razem może nic nie znaczyć, ale dialektyka uczy, że nie ma zjawisk, które z niczego nie wynikają i nie nie znaczą. — No więc co znaczy ta koszaroidalna moda? Cóż to za „jakas propozycja”? Czyżby „Zachodowi” sznużyło

się cywilne, dostatnie życie, czyżby dorastanie powojennych roczników miało jakiś związek z odkryciem — po raz nie wiadomo który — oroków dyscypliny, marszów, mundurów?

Targi się skończyły. W środku Łodzi, na Piotrkowskiej, przed sklepem z konfekcją ustawiono pomost, z radiowozu uzmocony otóżnikami plynie aksamitny baryton, na pomost wbiega co chwile inna dziewczyna, przystanie, obróci się, wygnie i wybiega. Stoł przy tym grunok gapiów, ludzie śpieszacy się do domów omijają ich, schodząc na ruchliwą jezdnię. Modele są mniej oryginalne niż te w Poznaniu, jeden meski płaszcz nawet mi się podoba. Wchodzę do sklepu.

— Czy ten płaszcz można u pani przymierzyć?

— Skąd, proszę pana, to jest przecież pokaz mody.

— To nie ma tych płaszczu w sklepie?

— Skąd, one będą w produkcji za pół roku.

— Rozumiem. A czy można sobie taki zamówić?

— Skąd, proszę pana, my przecież nie produkujemy, tylko przemysiamy.

— Zamówić w przemyśle?

— Tam nie przysiamy, przemysł przecież kontraktuje z handlem.

— Więc co to jest?

— No — pokaz mody!

— Rozumiem — mówię i wychodzę. Z radiowozu słyszę niezamordowanego konferansjera: — Pani Krysiu prezentuje spodniowemu z rypsu, jest to proszę państwa jakaś taka propozycja na molo sopockie, na deptak w Krzynicy, ale przede wszystkim na Złote Piaski przed sezonem...

Stop, nie słyszałem takich słów na Piotrkowskiej. To tylko taka jakaś propozycja dla organizatorów pokazów. Propozycja na „nie”: nie czarujcie zanadto, zwłaszcza że mało kto słucha!

CWIEK